

Gazeta Sremska

7-8/2021
ISSN 1232-7476
dwumiesięcznik
lipiec/sierpień
XXXI
cena 5 zł



ZAP

Ń MUZEUM
SREM SKIE



DAWNA ARCHITEKTURA MALARSTWO WIELKOPOLSKI

WERNISAŻ 4 LIPCA 2021, G. 17. 00
WYSTAWA 4 LIPCA – 1 SIERPNIA 2021

W numerze



Skrzynka Woźniki

W tym roku przypada stulecie śląskiego plebiscytu i trzeciego powstania śląskiego. O naszym udziale w tych wydarzeniach i zachowanych pamiątkach pisze Katarzyna Gwincińska.

str. 03



Jak to w Śremie z żużlem było. Część 2

Druga część historii śremskiego żużla, opracowana przez Adama Podsiadłego. W tej części wydarzenia lat 1949-1955.

str. 07



Stanisław Gawroński – tajemniczy patron ogródków działkowych

Stanisław Gawroński – patron ogrodów działkowych przy ul. Farnej. Kim był? Czym zasłużył sobie na takie wyróżnienie? Sylwetkę patrona przedstawia Sebastian Ignasiak.

str. 12

Spis treści

str. 02 Aleksander Śmigielski (1931-2021)
str. 03 Muzealne odkrywki: Skrzynka Woźniki
str. 07 Zapiski historyczne: Jak to w Śremie z żużlem było. Część 2
str. 12 Stanisław Gawroński – tajemniczy patron ogródków działkowych
str. 15 Z pamiętnika starego: Tak dobrze im było w Śremie
str. 18 Fahrenheit i inni...
str. 21 Tak było
str. 24 Jestem, więc pytam: Brniemy
str. 27 List do dziadka – Edwarda „Donia” Nowakowskiego
str. 29 Opowiadanie Marty Tok: Na ostro-
kwaśno
str. 33 Warto przypomnieć: *Nomadland*

str. 35 Mój Rzym. Część 4
str. 38 Kwestionariusz kultury: Jolanta Andrzejewska
str. 40 Nasz Talent: Olga Rydzewska
str. 42 Kino niewidzialne: *Ludzie w niedzielę*
str. 44 Z górnej półki: Opowiadania bardzo poetyckie
str. 46 Wszystko gra: O formach muzycznych...
str. 48 Pory roku w malarstwie. Część 4 – lato
str. 51 B&B przez Ameryki: Latynoskie podejście do koronawirusa cz. 3
str. 54 Okiem belfra: Oceniać, czy nie oceniać?
str. 55 Wieści z ratusza
str. 58 Muzeum – wydarzenia
str. 60 ŚOK – wydarzenia
str. 62 Biblioteka – wydarzenia

Ewa NOWAK

Aleksander Śmigielski

(1931-2021)

15 czerwca 2021 r. umarł Aleksander Śmigielski. Był wnukiem Sylwestra Szczepskiego, właściciela młyna parowego, synem Haliny, córki Sylwestra, i Stefana Śmigielskiego, powstańca wielkopolskiego. Z wykształcenia był ekonomistą po warszawskiej SGPiS. Po studiach mieszkał i pracował w Warszawie. Zamieszkał w Śremie po śmierci matki, już jako emeryt, by zaopiekować się spuszczoną rodziną Szczepskich.

Był miłośnikiem historii i skarbnicą wiedzy o Śremie. Przez wiele lat współpracował z Muzeum jako prelegent i konsultant. Był też stałym bywalcem muzealnych wydarzeń. W 2019 r., w oparciu o Jego bogate archiwum rodzinne, powstała wystawa *Szczepscy*. Jako gość honorowy wernisażu, po raz ostatni miał okazję do snucia swoich ciekawych opowieści z udziałem publiczności. Będzie nam Pana brakowało, Panie Aleksandrze!

Aleksander Śmigielski podczas wydarzenia Noc w Muzeum, 4 czerwca 2017. Fot. Bohdan Kaczmarek



Katarzyna GWINCIŃSKA

Muzealne odkrywki

Skrzynka Woźniki

W tym roku przypadają dwie ważne, setne rocznice. Sto lat temu, 20 marca 1921 roku odbył się na Śląsku plebiscyt – głosowanie, w którym mieszkańcy mieli zdecydować, czy Górny Śląsk pozostanie w granicach Niemiec, czy będzie przyłączony do Polski. Wkrótce potem, 2 maja 1921 roku niezadowoleni z wyników głosowania Polacy wywołali III powstanie śląskie i osiągnęli plebiscytowy cel zbrojnie, przystępując do ostatecznych negocjacji z pozycji siły.

Doprowadzenie do plebiscytu było sukcesem polskiej dyplomacji podczas konferencji w Wersalu, gdzie ustalono nowe granice państw w Europie po Wielkiej Wojnie 1914–1918, ponieważ Śląsk nie należał do Polski przedrozbiorowej. Został definitywnie wcielony do Niemiec po wcześniejszej wielkiej wojnie, również określanej przez historyków jako wojna światowa – wojnie siedmioletniej 1756–1763. Wówczas strata tego terytorium nie dotyczyła Polski, a Królestwa Czech zależnego od Habsburgów. My utraciliśmy Śląsk wieki wcześniej. Historia wszystkich naszych batalii o te ziemie w średniowieczu jest długa i nie ma tu miejsca nawet na jej streszczenie. Warto natomiast zastanowić się nad fenomenem zachowania polskości Śląska wobec kilkusetletniej przynależności do innych państw. Jak pisze Benedykt Zientara w eseju *Kazimierz I Odnawiciel* (w *Poczcie królów i książąt polskich* pod red. Andrzeja Garlickiego), polska świadomość narodowa rodziła się w połowie XI wieku: „[w 1054 roku ponownie] Śląsk został połączony z resztą Polski, co zdecydowało o jego obliczu etnicznym. W tym bowiem czasie kształtowały się już zasadnicze różnice między polskim a czeskim obszarem językowym, których granice pokrywały się z zasięgiem państw Piastów i Przemysłidów”.

Wówczas Śląsk był częścią mocarstwa Bolesława Chrobrego, pomniejszonego i osłabionego przez jego synów i wnuków, niemniej jednak utrzymanego, naprzemiennie jako królestwo i księstwo polskie. Warto się też zastanowić, dlaczego batalia polsko-niemiecka po I wojnie światowej nie dotyczyła historycznej krainy Śląsk, a tylko jej części, Górnego Śląska, skoro termin „prastare piastowskie ziemie” obejmował i obejmuje całość.

Kazimierz Niegolewski, wnuk Andrzeja, właściciel majątku Czarny Las przylegającego do Woźnik, działacz gospodarczy, społeczny, niepodległościowy



Nauczono nas w szkołach, że patriotyzm to obrona tożsamości narodowej. Wychowani na całej serii powstań narodowych przeciwko obcej władzy – od Kościuszki po 1989, nauczyliśmy się myśleć, że najważniejsze, to przegnać wroga i żyć samodzielnie we własnym państwie. Najważniejsza jest Wolność. Adam Mickiewicz też nam zrobił wodę z mózgu swoją tęsknotą do szlacheckich, z jej wolnością i jej sielskim trybem życia polegającym na trwonieniu do ostatniego każde-

go zarobionego grosza. Być może należałoby zrewidować sposób omawiania *Pana Tadeusza* w szkołach i przesunąć lekturę do najstarszej klasy, gdy młodzi ludzie potrafią myśleć krytycznie, gdy potrafią oddzielić walory dzieła literackiego od jego zgubnej treści. Bowiem Wolność bez Siły, jest niestety krótka. Przekonaliśmy się o tym, gdy bolszewik ruszył na nas ze wschodu wkrótce po odzyskaniu niepodległości. Czy młode polskie państwo oparłoby się temu najazdowi, gdyby nie

Urna plebiscytowa z Woźnik w powiecie lublinieckim w zbiorach Muzeum Śremskiego. Fot. MŚ



Wielkopolska, wyrwana nieco wcześniej Niemcom? Powstanie wielkopolskie wniosło w wianie II Rzeczypospolitej silną gospodarkę, tak silne rolnictwo, że głód zrujnowanej Europy nie dotyczył tego miejsca, silną wyposażeniem i wyszkoleniem armię. Dla państwa niemieckiego strata Prowincji Poznańskiej była bardzo dotkliwa.

Tak samo dotkliwą dla Niemców, a kto wie, czy nie bardziej, była utrata części Górnego Śląska, którą – mimo przegranego plebiscytu – wywalczyliśmy w III powstaniu śląskim w 1921 roku. Górny Śląsk był wówczas jednym z najsilniej uprzemysłowionych regionów w Europie, jednym z najbardziej dochodowych dla skarbu tego państwa, w którego granicach leżał. Rozpisując plebiscyt, przekombinowaliśmy. Licząc na głosy śląskich emigrantów utożsamiających się z Polską, umożliwiliśmy ich uczestnictwo w plebiscycie. Cóż. Niemcy okazali się dużo lepiej zorganizowani i wykorzystali tę furtkę, by głosowanie wygrać. Wygrali globalnie, nie lokalnie. To dało podstawę Wojciechowi Korfantemu, przywódcy całego ruchu na rzecz przyłączenia Górnego Śląska do Polski, do wytyczenia linii podziału regionu na część polską i niemiecką – linii Korfanteo – według wyników plebiscytu w gminach i to bez głosów emigrantów. Gdy negocjacje z Międzysojuszniczą Komisją Plebiscytową zawiodły, zapadła decyzja o wybuchu powstania. Plan przypominał powstanie wielkopolskie: wypchnąć Niemców za linię Korfanteo i utrzymać granice do czasu korzystnego dla nas rozstrzygnięcia.

Wyrażenie „zapadła decyzja” umiemy dosyć precyzyjnie rozwinąć. Decyzję podjął Wojciech Korfanty 28 kwietnia 1921 roku w majątku Czarny Las przylegającym do miasta Woźniki. Majątek ów należał do Kazimierza Niegolewskiego, wnuka Andrzeja Niegolewskiego, pułkownika wojen napoleońskich z Włocławek. Kazimierz, podobnie jak dziadek, ojciec i stryjowie, po wielkopolsku znakomicie gospodarował na swoich ziemiach i organizował w okolicy żywił polski. Brał czynny udział w trzech powstaniach śląskich. Ścisłe współpracował i przyjaźnił się z Wojciechem Korfantym, a m.in. pod wpływem jego działalności gmina Woźniki w plebiscycie zdecydowanie opowiedziała się za Polską. Był tak skuteczny, że po przyłączeniu powiatu lublinieckiego do Polski został jego pierwszym starostą.



Konsul Daniel Kęszycki w Opolu, 1920 r. Fot. z arch. rodziny Kęszyckich

Po drugiej stronie linii Korfanteo, w Opolu działał drugi wielki przyjaciel pana Wojciecha, konsul polski Daniel Kęszycki, doświadczony organizator powstania wielkopolskiego w powiecie śremskim, ostrzelany w boju sierżant ogniomistrz i, w roli tłumacza, uczestnik rozmów z Międzysojuszniczą Komisją w Poznaniu, rozmów mających zdecydować o kształcie granic Wielkopolski. Kto wie, czy to nie osobistemu urokowi hrabiego z Błociszewa i temu, że jego pierwszym językiem był francuski, zawdzięczamy życzliwość dla polskiej sprawy generała Henri Le Ronda, przewodniczącego Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej i Plebiscytowej na Śląsku. Kto konkretnie gościł 28 kwietnia 1921 roku w Czarnym Lesie, zdania są podzielone. Różne podaje się konfiguracje. Istnieje wersja, że sam



Marian Kujawski (1896-1975), powstaniec wielkopolski i śląski, z miniaturą Krzyża Niepodległości, oraz dwa z wielu Jego odznaczeń: Krzyż Niepodległości nadany 16.03.1933 i Śląski Krzyż Powstańczy nadany 7.01.1959. Fot. i odznaczenia z arch. Daniela Kujawskiego

tylko Korfanty, który przez telefon w Woźnikach kontaktował się z Kęszyckim. Inni piszą, że byli tam także Daniel Kęszycki i Maciej Mielżyński, późniejszy dowódca powstania. Danuta Płygawko pisze o spotkaniu w pełnym składzie: Korfanty, Kęszycki, Niegolewski i Mielżyński oraz generał Le Rond i francuski konsul H. Poset (?), o spotkaniu, podczas którego Francuzi zostali poinformowani o decyzji wybuchu powstania.

Gdyby jednak nie było tam Daniela Kęszyckiego, jakim sposobem trafiłaby do naszego Muzeum skrzynka plebiscytowa z Woźnik? Tak, mamy w zbiorach Muzeum Śremskiego unikat – skrzynkę stulatkę, znakomicie zachowaną urnę plebiscytową, do której trafiło 72% kart z napisem „Polska – Polen”. Skrzynka należała do kolekcji Feliksa Sałacińskiego i chyba nie ma sposobu, by dowiedzieć się na pewno, jakimi ścieżkami do niego dotarła. Z dużym prawdopodobieństwem możemy jednak przyjąć, że „pośrednikiem” był tu Daniel Kęszycki.

Przy okazji stulecia wydarzeń na Śląsku warto przypomnieć, że w III powstaniu śląskim wzięli czynny udział ochotnicy z powiatu śremskiego. Umiemy wymienić kilku powstańców wielkopolskich, którzy ruszyli wówczas na pomoc: Maksymilian Cygalski, urodzony w Zaworach, późniejszy obrońca Poczty Polskiej w Gdańsku, Stanisław Koszarek z Zaborowa, który ostatecznie zamieszkał w Lublińcu, Franciszek Olejniczak z Błociszewa, „zawsze przy Kęszyckim”, Kazimierz Piasecki z Nochowa, zamordowany przez NKWD w Charkowie, Marian Kujawski ze Śremu, którego aktywność powstańczą i społeczną mamy najlepiej udokumentowaną dzięki archiwum jego syna, Daniela Kujawskiego, i jego brat Kazimierz.

Wspólnym wysiłkiem Ślązaków i Wielkopolan II Rzeczpospolita zyskała silny okręg przemysłowy i mandat to przyszłego uznania całego Śląska za ziemie polskie. Nie będzie chyba nadużyciem, gdy słowa podziękowania Gabriela Narutowicza w liście z 1922 roku, skierowane do Daniela Kęszyckiego, zadedykujemy wszystkim naszym podwójnym powstańcom: „jeżeli sprawa Górnego Śląska została rozstrzygnięta w sposób dla Rzeczypospolitej pomyślny, niewątpliwie poważną część zasług należy przypisać Panu, Panie Konsulu Generalny”.

Adam PODSIADŁY

Jak to w Śremie z żużlem było. Część 2

Zapiski historyczne

W poprzednim numerze „Gazety Śremskiej” (nr 5-6/2021), w części 1, starałem się zarysować początki zorganizowanej działalności sportu motorowego, w tym także dyscypliny żużlowej w Śremie w latach 1946–1948. Przypomnijmy, że ta działalność toczyła się dwutorowo: udział w rajdach i zlotach motocyklowo-turystycznych (z elementami sprawnościowymi i obserwacyjnymi punktami na trasie) i od chwili przygotowania toru żużlowego na boisku przy Nowej Strzelnicy, pierwszych wewnętrznych, „koleżeńskich”

wyścigów, a potem rywalizacji indywidualnej w zawodach na tzw. motocyklach przystosowanych. Pieczę organizacyjną nad nimi sprawowała Sekcja Motorowa Śremskiego Klubu Sportowego, która pod koniec lat czterdziestych XX w. liczyła około siedemdziesięciu członków.

Pomysł na utworzenie w Polsce ligi żużlowej narodził się w 1947 r. Rok później, wiosną wystartowały rozgrywki I i II ligi z udziałem 16 drużyn. Nie zgłoszono do nich żużlowców ZS „Gwardii”

Przy nowych maszynach FIS stoją od lewej: Tadeusz Jurga, Henryk Kaczmarek, Bogusław Mańkowski, Leon Szulc.
Fot. z arch. A. Podsiadłego





Start do biegu. Fot. z arch. A. Podsiadłego

Śrem z powodu kłopotów z motocyklami i częściami zamiennymi. W kasie klubu i sekcji brakowało pieniędzy na zakup lepszego sprzętu, kombinezonów, butów, kasków, okularów itp. Zarząd sekcji uznał za niedostateczne „objeżdżenie” na żużlowym torze grupy zawodników, którzy dopiero dawali nadzieję na dobrą jazdę. Niemniej na treningach i w nadal organizowanych zawodach towarzyskich na własnym torze i ściganiu na wyjazdach (np. w Gdańsku, Łodzi, Katowicach, Rawiczu, Lesznie, Poznaniu), nabierali technicznych i taktycznych umiejętności ścigania na motocyklach.

Wyczynową kadrę zawodników tworzyli: Hipolit Kaczmarek, Henryk Kaczmarek, Zdzisław Walewski, Bazyli Mańkowski, Leon Szulc, Tadeusz Jurga, Wacław Wechman, Zbigniew Flegel, Zygmunt Maćkowiak, Tadeusz Wróbel. Większość z nich była z zawodu mechanikami samochodowymi lub kierowcami.

Gdy na przełomie 1948/1949 r. ruszyła Poznańska Liga Okręgowa (nazywana niechcący słusznie

III ligą) na maszynach przystosowanych, wystartowali w niej żużlowcy „Gwardii” Śrem. Zawody odbywały się w formie trójmeczy z rundą rewanżową. Każda drużyna wystawiała trzech zawodników plus rezerwowego. W barwach „Gwardii” Śrem w tych rozgrywkach wystąpili: Hipolit Kaźmierczak (kapitan), Henryk Kaczmarek, Zbigniew Flegel, a z rezerwy na zmianę jeździli: Zygmunt Maćkowiak, Leon Szulc, Zdzisław Walewski, Teodor Posielski. Na siedem startujących ekip „gwardziści” zajęli IV miejsce. Ci sami zawodnicy wywalczyli w 1951 r. w rywalizacji Grupy „B” Poznańskiej Ligi Okręgowej I miejsce, wyprzedzając m.in. „Spójnię” II i „Stal” Wrocław, „Kolejarza” Rawicz, „Stal” II Gorzów, „Kolejarza” Piła. Taki sam sukces odnieśli w eliminacjach okręgu poznańskiego, ale w finale strefy zachodniej śremscy żużlowcy ulegli „Stali” Zielona Góra i zaprzepaścili awans startu w Mistrzostwach Polski.

W 1950 r. sport żużlowy poniósł wielką stratę. W wypadku drogowym pod Leszmem zginął wielki mistrz „czarnego toru” Alfred Smoczyk,



Wyścig żużlowców na torze w parku. Fot. ze zbiorów MŚ

który także jeździł w zawodach na starym torze w Śremie. Na jego pogrzeb 26 IX 1950 pojechała do Leszna delegacja śremskiej „Gwardii”.

Reforma organizacyjna sportu żużlowego zlikwidowała istniejące dotąd w kraju zrzeszenia i centralne ich sekcje. Podmiotem sportu żużlowego miały stać się kluby, które mogły zrzeszać się w federacje, ale funkcjonować samodzielnie. Na tej podstawie, sekcja śremskiej „Gwardii” uchwałą zarządu od 1954 r. występuje pod zmienioną nazwą, jako Klub Sportowy „Sparta” Śrem. Równocześnie kończy się era tzw. maszyn przystosowanych. W żużlowych warsztatach i na torach pojawiły się maszyny konstrukcji angielskiej: Rotrax i Excelsior-JAP oraz produkowane w Rzeszowie motocykle żużlowe WSK FIS. Przez wiele kolejnych sezonów właśnie maszyny tej krajowej marki dominowały w rodzimych klubach. Polski Związek Motorowy wprowadził żużlowy „pierwszy krok” dla początkujących i obowiązkowe licencje zawodnicze uprawniające do wyczynowego uprawiania sportu żużlowego. Według nowych regulaminów bieg trwał cztery

okrążenia toru (zawsze w lewo!). Drużyna mogła w rozgrywkach ligowych wystawiać sześciu zawodników w meczu i ewentualnie jednego w rezerwie. Tory posiadały nawierzchnie z czarnego i nie zawsze odpowiednio rozdrobionego żużla. Przez pewien czas stosowano betonową nawierzchnię na polu startowym. Zanim wprowadzono maszynę startową działającą na elektromagnesy i zwalniającą w górę taśmę, żużlowcy ruszali do walki na sygnał machnięcia chorągiewką lub na tzw. gumkę. Za bandą przy maszynie startowej na specjalnym podium „urzędował” sędzia zawodów.

Motocykle nowej generacji, przeznaczone wyłącznie do wyścigów na żużlu posiadały większą moc i rozwijały na trasie znacznie większe prędkości od używanych dotąd maszyn. Wymagały jednak lepszej techniki jazdy na owalnym torze, a przede wszystkim pokonywania wiraży.

Przerobiony z bieżni lekkoatletycznej tor dla żużlowców na boisku przy Nowej Strzelnicy przestał odpowiadać wymogom m.in. bezpieczeństwa.

Zanim został otoczony drewnianymi bandami zdarzył się 31 marca 1953 r. tragiczny wypadek. Podczas treningowej jazdy parami, 19-letni Eugeniusz Pospiech pokonując wiraż wypadł z toru i w wyniku odniesionych obrażeń zmarł.

W 1955 r. Główna Komisja Żużlowa nakazała zamknięcie śremskiego toru. Na szczęście dla sekcji i rzeszy kibiców trwały już prace nad nowym obiektem. Na ten cel Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Śremie przekazało klubowi w dzierżawę kilkudziesięciohektarowy teren w parku. Władze sportu żużlowego nadesłały wytyczne techniczne, według których należało zbudować tor i prawidłowo ułożyć nawierzchnię z żużla. Całym tym dużym przedsięwzięciem kierował komitet społeczny. Nie sposób wymienić z nazwiska wszystkich jego członków, którzy przyczynili się do budowy obiektu. Komitetem i jego zespołami wykonawczymi kierował prezes zarządu sekcji Stefan Ślęzak. Projektantem toru był Aleksander Danielewicz, budowniczy z zawodu i jednocześnie sekretarz zarządu sekcji. On

też nadzorował wszystkie prace. Zapewnieniem transportu materiałów zajmowali się Bolesław Fryder i Stefan Fryder. Finansowe dotacje na realizację tej inwestycji przekazały m.in. Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Śremie, władze miejskie z własnego budżetu i Śremski Klub Sportowy. Z sekcji żużlowej na konto komitetu budowy wpłynęły pieniądze z prowadzonych kursów na samochodowe prawo jazdy.

Budowa nowego toru była akcją „pospolitego ruszenia”. Z pomocą pospieszyły licznie miejscowe i powiatowe zakłady pracy. Tony żużla przywieziono bezpłatnie z PKP w Poznaniu. Deski na bandy za połowę ceny sprzedawały tartaki w Gądkach i Bninie. Setki metrów krawężników pochodziło z betoniarni w Śremie i Książu. Przy wykopach, niwelacji terenu, układaniu krawężników, bieleniu band pracowała młodzież z Zasadniczej Szkoły Zawodowej, Liceum Ogólnokształcącego, wojsko, zawodnicy „Sparty”, członkowie sekcji i ŚKS.
c.d.n.

Na Stadionie Olimpii przed meczem z drużyną „Gwardii” Poznań. Od prawej stoją: kapitan Hipolit Kaźmierczak, Henryk Kaczmarek, Jerzy Bartoszkiewicz, Zdzisław Walewski, Leon Sulc, Zygmunt Maćkowiak, Bazyli Mańkowski (16 VI 1956).
Fot. z arch. A. Podsiadłego





Na ostatnich metrach przed metą. Fot. z arch. A. Podsiadłego



Na nowym torze stadionu sportowego w parku śremską drużynę prowadzi Stefan Ślęzak. Fot. z arch. A. Podsiadłego

Sebastian IGNASIAK

Stanisław Gawroński – tajemniczy patron ogrodu

Stanisław Gawroński kojarzy się niektórym mieszkańcom Śremu z patronem ogrodu działkowego, znajdującego się przy ul. Farnej. Nie wielu jednak wie, kim był ten człowiek i czym zasłużył sobie na bycie patronem ogródków działkowych. Dlatego postaramy się przybliżyć w tym tekście jego postać i działalność.

Fot. z arch. Małgorzaty Łączkowskiej



PRZYBYSZ Z RUSKA

Urodził się 7 stycznia 1886 roku w Rusku w pow. Jarocin. Był prawdopodobnie pierwszym z pięciorga dzieci Ignacego i Agnieszki (z d. Jerzykowska). W 1892 roku rozpoczął naukę w szkole powszechnej w Rusku. Krótko potem Gawrońscy opuścili wioskę i prawdopodobnie przenieśli się do Książa Wielkopolskiego, gdzie w 1896 roku przyszła na świat Władysława, siostra Stanisława. Niedługo po jej narodzinach zamieszkali w Śremie. Tu Stanisław ukończył szkołę elementarną, po której podjął naukę w zawodzie szewca. Przyszłej profesji uczył się pod kierunkiem ojca. Po zakończeniu terminowania i zdaniu egzaminu uzyskał świadectwo czeladnika. Następnie został powołany do odbycia służby wojskowej w armii niemieckiej. Po zrealizowaniu tego obowiązku został przeniesiony do rezerwy. Do wybuchu I wojny światowej mieszkał i pracował w Śremie.

ŻOŁNIERZ I WOJNY ŚWIATOWEJ I POWSTANIEC WIELKOPOLSKI

W związku z wybuchem I wojny światowej został zmobilizowany do armii niemieckiej. W sierpniu 1914 roku został skierowany na front zachodni, do Francji. Przebywał tam do lutego 1916 roku. Podczas walk został ranny i wysłano go na leczenie do Bawarii. W lipcu 1916 roku otrzymał przydział do batalionu zapasowego w Kościanie. W lutym 1917 roku wyjechał ponownie na front zachodni. W trakcie walk został po raz kolejny ranny. W grudniu 1917 roku wrócił z frontu. Następnie służył w garnizonie w Poznaniu. 7 grudnia 1918 roku został zwolniony z wojska. Swoje wojenne losy opisał w wydanym w 1934 roku *Pamiętniku nieznanego żołnierza*. Na początku stycznia 1919 roku zgłosił się na ochotnika do 1 kompanii śremskiej, w szeregach której walczył



Fot. z arch. Małgorzaty Łączkowskiej

z Niemcami pod Zbąszynem i Rawiczem (styczeń i luty 1919 roku).

SZEWEC

Jesienią 1919 roku otrzymał tytuł mistrza obuwicznego i założył warsztat. Początkowo zajmował się naprawą obuwia oraz wykonywał je na zamówienie. Po kilku latach działalności poszerzył swoje usługi i zaczął sprzedawać własne wyroby. Sklep wraz z pracownią mieściły się w kamienicy przy ul. Kościuszki (obecnie dom przy ul. F. Dąbrowskiego 8). Stanisław Gawroński pokazywał wytwory własnej pracy na wystawach przemysłowych. Obuwie wychodzące z jego warsztatu uzyskiwało nagrody. Na Wystawie Przemysłowej urządzonej w 1921 roku z okazji 50-lecia istnienia i działalności Towarzystwa Przemysłowego otrzymał złoty medal, zaś na Okręgowej Wystawie Przemysłowej w 1924 roku brązowy.

DZIAŁACZ

Pracował społecznie na rzecz lokalnego i wielkopolskiego rzemiosła. W 1924 roku objął funkcję prezesa Towarzystwa Przemysłowców w Śremie. Od 1933 roku organizacja ta funkcjonowała pod nazwą Towarzystwa Rzemieślniczo-Przemysłowego. Kierował nim w latach 1924–25 i 1929–37. Za jego prezesury Towarzystwo zorganizowało w Śremie Okręgową Wystawę Przemysłową, która miała miejsce w dniach 15–17 sierpnia 1924 roku. Swoje produkty zaprezentowało na stoiskach 69. wystawców. Pochodzili oni nie tylko ze Śremu. Do miasta przyjechali z następujących ośrodków: Gostynia, Kalisza, Książa, Mosiny, Pleszewa, Poznania i Środy. W latach 30. sprawował stanowisko radcy w Izbie Rzemieślniczej w Poznaniu. 19 kwietnia 1936 roku uczestniczył jako członek delegacji Izby w odsłonięciu pomnika Jana Kilińskiego w Warszawie. Pomnik został odsłonięty z okazji 30. rocznicy założenia Izby Rzemieślniczej w Warszawie. We wrześniu 1936 roku znalazł się w gronie 18 osób,

które zawiązały w Śremie Kasę Bezprocentowego Kredytu Rzemiosła Chrześcijańskiego. Podczas spotkania założycielskiego został wybrany zastępcą prezesa. Po wojnie pełnił funkcję starszego Cechu Szewskiego w Poznaniu. W 1946 roku był prezesem Związku Cechów Szewskich i Cholewkarzów.

Działał również w innych organizacjach społecznych. W latach 1925–29 stał na czele Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Śremie. Jako jego prezes witał razem z oddziałem cyklistów „Sokoła” ks. prymasa Augusta Hlonda, który przybył z wizytą do Śremu w 1927 roku. W 1928 roku organizacja ta obchodziła 35-lecie istnienia i działalności. Podczas tej uroczystości otrzymała nowy sztandar. Ponadto piastował dwukrotnie mandat radnego Rady Miejskiej w Śremie.

MIESZKANIEC POZNANIA

W 1939 roku wyprowadził się ze Śremu do Poznania. W stolicy Wielkopolski spędził całą wojnę. Po wyzwoleniu miasta służył w Milicji Obywatelskiej. Następnie został zatrudniony w wojsku na stanowisku cywilnym. Potem otworzył warsztat

cholewkarski, który prowadził we własnym mieszkaniu na ul. Samuela Engla 30/6. Zakład funkcjonował aż do jego śmierci. Zmarł 5 października 1952 roku. Pogrzb odbył się na cmentarzu junikowskim.

PATRON

Od 24 lutego 1963 roku patronuje ogrodowi działkowemu, który położony jest przy ul. Farnej. Ogród ten został utworzony w 1936 roku dla członków Towarzystwa Rzemieślniczo-Przemysłowego. Jesienią tego roku, Towarzystwo nabyło grunt o pow. 2,5 ha, który podzieliło na działki. Zakup i założenie ogrodu zostały zrealizowane za prezesury Stanisława Gawrońskiego. Inicjatorem nadania jego imienia ogrodowi był krawiec Antoni Nowak, prezes ogrodu w latach 1948–68.

Fotografie (i część informacji) wykorzystane w artykule pochodzą z Archiwum Rodzinnego Ogrodu Działkowego im. Stanisława Gawrońskiego w Śremie i z archiwum Małgorzaty Łączkowskiej. Za konsultację przy pisaniu artykułu dziękuję Franciszkowi Wendzińskiemu. Dziękuję również p. Marii Andrzejewskiej.

S. Gawroński przed sklepem-pracownią przy ul. Kościuszki w Śremie. Fot. z kroniki ROD im. S. Gawrońskiego w Śremie



Leszek MAŃKOWSKI

Tak dobrze im było w Śremie

Z pamiętnika starego

Nie jest dzisiaj niczym nadzwyczajnym współpraca międzynarodowa szkół, wymiana młodzieży. Inaczej bywało wtedy, gdy o przynależności do Unii Europejskiej mogliśmy sobie tylko pomarzyć. Wracam pamięcią do tamtych lat, gdy wiele spraw – dziś zwyczajnych – było nowością, gdy nie mieliśmy gotowych wzorców, gdy trzeba było wypracowywać niekonwencjonalne wówczas rozwiązania.

Dwukrotnie, w 1992 i 1993 roku, przebywały u nas polskie dzieci z Łotwy, uczniowie Szkoły Polskiej w Daugavpils. Ich pobyt w Śremie organizowała Szkoła Podstawowa nr 2 im. Ks. Piotra Wawrzyniaka. Przez kilkanaście dni uczyli się razem z naszymi uczniami, mieszkali w ich domach, zwiedzali Wielkopolskę.

Po raz pierwszy, w maju 1992 r., przyjechali wszyscy uczniowie szkoły na zaproszenie stowarzyszenia Wspólnota Polska oraz Kuratorium Oświaty i Wychowania w Poznaniu. Uczniowie poszczególnych klas szkoły w Daugavpils przebywali w Nowym Tomysłu, Rostarzewie, Środzie Wlkp. i Śremie. Do naszego miasta trafiła klasa druga z wychowawczynią Władysławą Ciesielską.

W kwietniu 1992 r. urzędnik oświatowego kuratorium spytał mnie, czy nasza szkoła przyjmie polskie dzieci z Łotwy. Chciałem być na tak, ale... moja pewność siebie przycichła, gdy usłyszałem, że będą w Śremie już na początku maja. Czy zdążymy zorganizować wszystko co należy? Cóż, byliśmy skorzy do podejmowania nowych wyzwań. Podjęliśmy się nagłego „zastępstwa” za inną, wcześniej wytypowaną przez kuratorium szkołę. Udało nam się przygotować. Były rodziny chętne, by przyjąć gości pod swój dach. Byli na-

uczyciele, którzy podjęli się dodatkowych zadań. Wydatnie pomógł samorząd miasta i gminy. Zaangażowała się parafia farna. Wsparcia udzieliły śremskie firmy, kuratorium oświaty i mieszkańcy Śremu. Mogliśmy więc działać!

Przyznaję, że przed przyjazdem niezwykle gości niewiele (by nie powiedzieć, że nic) nie wiedziałem o rodakach na Łotwie. Dowiadywałem się o nich dopiero od goszczącej w naszym domu pani Władysławy Ciesielskiej. Pani Władysława – nauczycielka ze Skępego, polonistka, kobieta z pasją. Znalazła swój sposób na życie emerytki. Pojechała na Łotwę na kilkuletni kontrakt, objęła stanowisko wicedyrektorki Szkoły Polskiej w Daugavpils. Uwielbiana przez dzieciaki, wymagająca, konsekwentna, gdy trzeba – surowa, a zawsze troszcząca się o swoją gromadkę. Ona opowiadała nam o historii i współczesności Polaków żyjących na terenach dzisiejszej Łotwy, o trudnych czasach, które przetrwali.

Polacy na Łotwie nie są emigrantami. Od XVI w. zamieszkują głównie Łatgalię, czyli dawne polskie Inflanty – okolice Dyneburga (obecnie Daugavpils), Semigalię (wschodnią część Kurlandii) oraz Rygę. W 1918 r., w niepodległej Łotwie, zyskali status mniejszości narodowej. W międzywojniu działało polskie szkolnictwo, organizacje społeczne i religijne, ukazywała się prasa polska. Po aneksji Łotwy przez ZSRR (w 1940 r.) władze sowieckie zlikwidowały polskie życie polityczne i społeczno-kulturalne, pozamykano polskie szkoły i kościoły. Masowe deportacje na Syberię objęły też Polaków. Wielu zgładzono. Po wojnie narastał proces sowietyzacji i rusyfikacji. Po zamknięciu w r. 1949 ostatniej polskojęzycznej szkoły, język polski, poza domami, funkcjonował w nie-



Na scenie, rok 1993. Fot. S. Ratajczak

licznych kościołach. Odzyskanie przez Łotwę niepodległości w 1991 r. umożliwiło Polakom odnowę życia społecznego i działalności politycznej. Szkoła Polska w Daugavpils wznowiła działalność już 1 września 1991 r.

Byli wtedy u nas od 5 do 17 maja. Dziewczęta i chłopcy z Daugavpils uczęszczali na zajęcia szkolne. Fakt, że w ich szkole obowiązywały polskie programy nauczania pozwalał na wspólną naukę z rówieśnikami w naszej szkole. W ten sposób goście mogli realizować główny cel pobytu w Polsce – doskonalenie języka polskiego. Ważnym dopełnieniem szkolnej edukacji były wycieczki, będące swoistymi lekcjami polskiej historii. Młodzi rodacy odwiedzili Poznań, Gniezno, Biskupin, Kórnik, Rogalin, Manieczki.

13 maja w kinie Słonko odbył się niezwykle koncert. Dzieci z Daugavpils przedstawiły wspaniały program złożony z polskich pieśni, wierszy i tańców narodowych. Widownię wypełnili przedstawiciele władz miejsko-gminnych i oświatowych,

członkowie rodzin, które udzieliły gościny, sponsorzy, darczyńcy, organizatorzy pobytu w Śremie oraz uczniowie śremskich podstawówek. Na scenie wystąpiła cała klasa, wszyscy uczniowie stanowili zespół artystyczny.

W niespełna dwa tygodnie zawiązały się przyjaźnie, wyzwoliła się niecodzienna życzliwość i ofiarność śremskich. Goście, wyjeżdżając, zapraszali do siebie. Z zaproszenia skorzystaliśmy już w październiku 1992 r. i – proponowaliśmy im kolejny pobyt w Śremie.

W 1993 r. mogliśmy spokojnie się przygotować, wzbogacić program, wydłużyć czas odwiedzin. Od 22 maja do 9 czerwca gościliśmy tę samą klasę, teraz już trzecią. Znowu były wspólne zajęcia lekcyjne, znowu wycieczki: do Gołuchowa, Poznania, Puszczykowa, Lichenia. Tym razem było więcej czasu na pozalekcyjne atrakcje. Uczniowie z Daugavpils wzięli udział w – organizowanym przez naszą szkołę (przy pomocy ŚOK) – II Wojewódzkim Przeglądzie Piosenki Religijnej „Śrem-



Przy ognisku, rok 1993. Fot. S. Ratajczak

song”. Uczestniczyli w imprezach Dni Śremu: Szkoła Polska w Daugavpils pięknie zaprezentowała się w zakinadzie; dzieci, wraz z goszczącymi je rodzinami, brały udział w miejskich imprezach. Nasi goście kibicowali też na turnieju piłkarskim (grały drużyny nauczycieli, księży, policjantów i radnych), z którego część dochodu przekazano ich szkole. Nie zabrakło czasu na wypoczynek i zabawę – trzydniowy biwak nad jeziorem w Dolsku.

Koncerty. Pieśni, tańce, wiersze, piosenki w wykonaniu dzieci z Łotwy podziwiali rówieśnicy w Szkole Podstawowej nr 5, mieszkańcy Domu Pomocy Społecznej na Farnej, uczniowie Szkoły Podstawowej w Dolsku. W Słonku obok naszych uczniów były dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 3. Szczególny charakter miał koncert dla mieszkańców Śremu, w podziękowaniu, dla rodzin, organizatorów, sponsorów i darczyńców.

W przeddzień wyjazdu drużyna z Daugavpils zwyciężyła w organizowanym przez „Dwójkę”

konkursie „Czy znasz lektury szkolne?” z udziałem podstawówek z naszego miasta i gminy. Wieczorem 8 czerwca było pożegnalne spotkanie rodzin, zakończone przy ognisku na Kawczu.

Kontakty z Polakami na Łotwie trwały jeszcze przez kilka lat. Pozostały wspomnienia. Dobre wspomnienia ciekawych życia, zdolnych dzieci i ich wspaniałej wychowawczynie...

Było wiele podziękowań – za przyjęcie dzieci, za pomoc, wzbogacenie wyposażenia ich szkoły, za książki i dary dla polskich rodzin. Ale najtrwalsze podziękowanie i niezwykle podsumowanie objawiło się w 1995 r., w... podręczniku do języka polskiego dla klas 3 i 4 szkół podstawowych za granicą (Helena Metera, *Strzeż polskiej mowy*). Są tam wspomnienia dzieci z Daugavpils z pobytów w naszym mieście. Opowieść kończy się zdaniem: „Tak dobrze nam było w Śremie, że nie chcieliśmy wracać do domu”.

Wojciech K. KANIEWSKI

Fahrenheit i inni,

czyli o wyższości naszego układu miar i wag nad amerykańskim

My Polacy – jesteśmy wychowani w kompleksie niższości. Jednak nie wszystko co nasze, musi być gorsze. Amerykanie, odwrotnie, są dumni z wszystkiego co ich. Nawet ze swoich przestarzałych i absurdalnych miar i wag, i nie wyobrażają sobie, by je zmienić. Ich jednostki pomiarowe irytowały mnie od pierwszego dnia mojego pobytu w USA w 1978 r. i nie przestały mnie denerwować do dziś.

Zacznijmy od pomiaru temperatury. Wydawać by się mogło, że najlogiczniejsza jest skala Kelvina. Zaczyna się od zera absolutnego, przez co unika temperatur ujemnych. Przejęła jednak wielkość stopni Celsjusza, więc panujące zwykle

temperatury są trzycyfrowe. To niedogodność zniechęcająca do powszechnego stosowania. Choć gdyby powiększyć wartość stopnia, byłoby trochę lepiej. O skali Romera już dawno zapomniano. Większość państw od dawna przejęła skalę Celsjusza i jest zadowolona. Amerykanie tkwią zaś – bez istotnego powodu – w absurdalnej skali, opracowanej przez gdańszczyzanina Fahrenheita i nie zamierzają tego zmienić. Wielokrotnie pytałem, skąd zamiłowanie do tej skali. Odpowiedzi były różne, choć nikt nie wiedział kim był Fahrenheit i skąd się wzięła jego skala. Jedni twierdzili, że to tradycja, inni, że dokładniejsza od Celsjusza, wreszcie byli i tacy, którzy ją „czują” i wiedzą, że gdy jest 100° F, to mają stan podgorączkowy i na zewnątrz jest gorąco, a gdy jest 0° F lub mniej, to jest bardzo zimno. Ale kogo na świecie może obchodzić, jaka była najwyższa i najniższa temperatura podczas przypadkowo wybranych 10 lat w Gdańsku, a tak określił swoje 0 i 100 stopni twórca tej skali, gdański aptekarz. Dawno temu na drewnianym płocie swojego ogrodu powiesił rurkę z rtęcią i zaznaczał kreskami najwyższy i najniższy jej poziom. Stąd się wzięło jego 100 i 0 stopni, tak ważne dla Amerykanów. Gdyby wybrał inny termin lub inne miejsce, to skala jego termometru byłaby już inna. Kompletna przypadkowość, bez żadnego logicznego uzasadnienia, ale „gdańska” świętość dla Amerykanów. Chociaż wydawać by się mogło, że świat, w tym Polska, dawno go zapomniał, to w Stanach, każdego dnia, ba, o każdej porze – Fahrenheit bezpośrednio lub poprzez użycie symbolu F, na oznaczenie „jego temperatury”, jest wszechobecny „w dzień i w nocy”.

Jeszcze gorzej jest z pomiarami długości, masy czy objętości. U nas też dawno temu bywało różnie. Denerwowałem się, gdy Babcia wysyłała

Daniel Gabriel Fahrenheit. Fot. Wikipedia





Tablica na dziedzincu im. Daniela Gabriela Fahrenheita na Politechnice Gdańskiej. Fot. Marian Ochocki

mnie do kolonialki, bym kupił ćwierć funta czegoś. Jakiego funta? Ile to jest? Dobrze, że chociaż nasz funt to pół kilograma, a nie tak jak amerykański. Albo gdy podawała godzinę „trzy na piętą” to nie wiedziałem czy to za piętnaście piątą, czy 15 minut po piątej? Babcia znakomicie sobie radziła z tuzinami (12), mendlami (15) kopami (60) czy grosami (144). Dlatego tak łatwo rozumiała obecny system pomiaru czasu, wywodzący się jeszcze ze starożytnego Babilonu. A mnie, nowoczesnego dzieciaka, to irytowało, bo było spoza systemu dziesiętnego. Ale i taka staruszka potrafiła szybko pojąć nowy, metryczny i dziesiętny system miar, przyjęty zresztą przez Polskę jako drugie państwo na świecie po Szwajcarii, jeszcze długo przed wojną. Babcia nie miała więc problemu ze zrozumieniem pojęcia „godzina osiemnasta”, tymczasem nawet dla światłych Amerykanów to do dziś „czarna magia”. Tylko w wojsku ich uczą, co to jest godzina „eighteen-hundred”. Ale skąd w ich pełnych godzinach wzięło się sto, nadal nie wiem bo to nie minuty, więc co? Gdyby wykrzykiwali *eighteen zero zero*, to byłoby ok.

Pracowałem w laboratorium, gdzie nie sposób było używać amerykańskich miar. Dlatego angażując asystentów, zawsze zaczynałem od ich znajomości systemu metrycznego. Pytałem o długość czegoś. Gdy odpowiedź była w calach lub stopach, to zaczynała się zabawa. Proszę podać mi średnicę wirusa w calach. Gdybym był

naprawdę złośliwy, to kazałbym podać średnicę atomu lub elektronu w calach. Nie byli w stanie i albo przechodzili na system metryczny, albo dręczyłem ich dalej. Ile cali ma 1 mila? To akurat łatwe, ale ile cali sześciennych jest w mili sześcienniej, już nikt nie miał pojęcia. Z wagą było jeszcze gorzej. Nie wiedzieli po co mają trzy różne uncje. A ile uncji waży wirus nikt nie potrafił powiedzieć. Ile uncji jest w tonie? Ale w jakiej tonie, bo te też bywają różne. Czemu galon amerykański jest inny niż kanadyjski, czy brytyjski? Buszel to też wymysł amerykański. Dla nich nieistotne, że buszel różnych substancji waży inaczej. Czy ktoś z nich wie ile waży buszel powietrza, i który koszyk uznali za wzorzec tej absurdalnej miary? Jeszcze śmieszniej mierzą powierzchnię. Ich akr to 66 x 660 stóp, czyli 43560 stóp kwadratowych! Kto to wymyślił? Nawet Anglicy zastąpili akry hektarami. Amerykanie tak lubią swoje miary, że nawet kawałek drewna do budowy domu nazwali „two by four”, choć jego faktyczne wymiary są mniejsze. Gdy zatem kandydat na asystenta nie znał wystarczająco systemu miar i wag SI, to odpadał bez dalszych pytań.

Ciekawe, że Amerykanie mierzą ogromne góry w małych stopach a odległości na małym boisku do futbolu w większych jardach. Musieli też być oryginalni w motoryzacji. Liczą, ile można przejechać na galonie paliwa, a nie jak inni, ile paliwa potrzeba do przejechania 100 km. Przeliczanie tych danych jest uciążliwe. Przyspieszenie

pojazdów mierzą do 60 mil na godzinę, co na szczęście jest zbliżone do 100 km/godz. Tesla rozumiał Amerykanów, więc częstotliwość swojego prądu zmiennego ustalił na kopę (60) herców. Niestety, Europejczycy już wtedy myśleli w systemie dziesiętnym i nasz prąd ma częstotliwość pół setki herców (50), stąd niedogodności techniczne. Amerykanie wykazali się „wielką kreatywnością” w sposobie podawania daty. Z nieznanymi mi powodów na pierwszym miejscu podają miesiąc, potem dzień i rok, zamiast po kolei dzień, miesiąc, rok, lub odwrotnie, zaczynając od roku. Taki zapis daty jest, na pierwszy rzut oka niezrozumiały dla przeciętnego Obywatela Globu, w szczególności, przy oznaczaniu pierwszych 12 dni miesiąca bo 7/8/2020 może być odczytywany jako 8 lipca (na pewno przez Amerykanów) albo jako 7 sierpnia przez całą pozostałą resztę świata. Od 13 każdego miesiąca jest już łatwiej, bo każdy zapisujący czy odczytujący zapisaną datę zastanowi się nad tą 13-tką.

Ale Amerykanie potrafili od początku być „nowocześniejsi”, czyli praktyczni – w sprawie pieniędzy. Nie przeszli od Anglików ich dziwnego systemu funtów, szylingów i pensów, tylko od razu wprowadzili dolary i centy. To Anglicy zdecydowali się w końcu zastosować system dziesiętny, rezygnując z szylingów i dzieląc funta na 100 pensów. Gdy w Polsce była ostatnia denominacja złotego, miałem nadzieję, że obetniemy 5 zernie 4 i wprowadzimy metryczne 1000 groszy a nie 100. Mielibyśmy najsilniejszą walutę świata, a po znacznej inflacji, zamiast kolejnej denominacji wrócilibyśmy do stu groszy.

U nas niemetryczny pozostał kąt (radian ciężko się przyjmuje), pomiar czasu i kalendarz. Już jako dziecko mnie to martwiło. Lubiłem opracowywać metryczny (dziesiętny) system pomiaru czasu i takiż kalendarz. Ale wątpię, by za mojego życia w tych sprawach nastąpiły jakiekolwiek zmiany na lepsze. Już prędzej Amerykanie zmienią swoje archaiczne jednostki miar i wag. Zastosowanie systemu dziesiętnego do pomiaru czasu stwarza pewne problemy, ale jest możliwe. Czas musi być oparty na długości trwania doby. Aby jak najmniej zmieniać, należałoby podzielić dobę na 100 tysięcy sekund, a nie na 86 400 sekund jak to jest obecnie. Wtedy sekunda trwałaby nieco krócej niż teraz, co nie byłoby problemem. Minuta miałaby 100 sekund, a godzina 100 minut.

Doba miałaby 10 długich godzin. Z kalendarzem też już jako dziecko sobie łatwo poradziłem. Dla tradycji pozostawiłbym 12 równych miesięcy po 30 dni, podzielonych na 3 tygodnie po 10 dni. Pozostałe 5 lub 6 dni byłyby wolne, poza miesiącami. Niepotrzebny byłby kalendarz, bo wszystkie dni przypadałyby w ściśle określonym czasie. Ale kogo to obchodzi? Amerykanie nawet w nazewnictwie dużych liczb postanowili niechlubnie odróżniać się od reszty świata. Tylko po co? Nasz miliard to u nich bilion, nasz bilion to ich trylion itd. Wprowadza to spory zamęt, gdy w publikacji brak wyjaśnienia jakie nazewnictwo zastosowano. Czemu to ma służyć?

A więc trwają przy swoim archaicznym systemie, który jednak miłują i nie chcą się z niego wyzwolić na korzyść powszechnie stosowanego, a szkoda, wielka szkoda.

Świat jest dziwnie niechętny zmianom, nawet na lepsze. Języki ewoluują, ale niezwykle powoli. Nie umiem powiedzieć czy lepszy (logiczniejszy, prostszy, przyjaźniejszy) jest język polski, czy angielski. W obu widzę same wady i za mojego życia nie próbowano ich poprawiać. Esperanto się nie przyjęło, bo nie opracował go Amerykanin czy Anglik, tylko Polak. A o ile łatwiej by się żyło, gdyby na świecie był tylko jeden prosty, logiczny język urzędowy, a w domach każdy by porozumiewał się po swojemu. Dla hobbystów byłaby też literatura w dowolnym języku. W angielskim irytująca jest rozbieżność pomiędzy pisownią a wymową (i dużo więcej mankamentów). Wiele niechętnych – Anglikom czy Amerykanom – państw miałoby obiekcje z przyjęciem angielskiego w charakterze powszechnego języka urzędowego. To musiałyby być język stworzony sztucznie. Język polski ma wiele wad i od lat przedwojennych praktycznie nie jest ulepszany. W polskim niepotrzebne są ż i rz, u i ó, czy h i ch. Zamiast sz i cz można by pisać s i c z kropką, rezygnując z dwuliterowych dźwięków. Można by wprowadzić wiele innych uproszczeń i ulepszeń, bez szkody dla naszego języka, tylko kogo to obchodzi. Na pewno nie polonistów.

A więc zachęcajmy decydentów do wprowadzania wszelakich udoskonaleń! To nam wszystkim ułatwi i uprości życie!

Barbara SIWIŃSKA

Tak było

*Historia magistra vitae.
O tempora! O mores!
Cyceron*

Zupełnie przypadkowo, po studiach na Akademii Medycznej w Poznaniu, w 1959 roku trafiłam na 10-miesięczny staż podyplomowy do szpitala w Śremie. Nie przypuszczałam, że Śrem stanie się moją życiową przystanią. Mieszkłam w Jarocinie gdzie się urodziłam, miałam możliwość pracy w wielkim miejskim ośrodku (Wrocław), ale kocham małe miasteczka. Przeraziło mnie wielkomiejskie środowisko. Zdecydowałam się na Śrem. Zrobiłam dobrze. Dokąd trafiłam? Szpital 205-lóżkowy w pięciu budynkach nie połączonych ze sobą. Oddziały: wewnętrzny, chirurgia, ginekologiczno-położniczy, dziecięcy, noworodkowy i zakaźny, pralnia, kotłownia, szwalnia i hodowla nierogacizny. Ordynatorów było trzech: dyrektor szpitala dr Antoni Paul, który prowadził oddział chirurgiczny oraz ginekologiczno-położniczy (ginekologa w całym powiecie nie było), dr Halina Służewska – dziecięcy i noworodkowy (była wówczas jedynym pediatrą w powiecie) i dr. Tadeusz Służewski – oddział wewnętrzny i zakaźny. Oprócz ordynatorów szpital zatrudniał także lekarzy: Stanisława Olszaka, Krystynę Klaczyńską i Barbarę Grajkowską. Administracją kierował Wacław Małecki, kadry prowadziła Bronisława Brygier, księgowość Jan Konieczny. Szpital mimo mizernych warunków lokalowych służył z czystości. Dyrektor raz w tygodniu regularnie obchodził cały teren, witał się i rozmawiał z personelem w myśl zasady „pańskie oko konia tuczy”. W personelu średnim dominowały zakonnice dyspozycyjne przez całą dobę: Dulcissima (prowadziła laboratorium), Aleksja (robiła zdjęcia rtg, co przypłaciła białaczką), Radosława

(instrumentariuszka na bloku operacyjnym) i Jeremia (podawała narkozę i była oddziałową na ginekologii).

Diagnostyka opierała się na podstawowych badaniach laboratoryjnych (bez oznaczania elektrolitów) i zdjęciach rtg. Prześwietlenia każdy lekarz wykonywał sam, nie było radiologa. Elektrokardiogram, po wykonaniu przez lekarza, musiał być wywołany jak film w ciemni rtg. I to właściwie wszystko. Rozpoznanie stawiano po dokładnym wywiadzie i szczegółowym badaniu. Efekt terapeutyczny zależał od wiedzy i sumienności lekarza. To była prawdziwa sztuka! Nie było maszyn do pisania, dokumentację około 30 chorych prowadził asystent pisząc ręcznie. Do jego obowiązków należało także wykonanie transfuzji krwi i ważniejszych iniekcji dożylnych. Uciążliwe czekanie na sterylizację ciepłą zestawów do kroplówek, igieł, pochłaniało czas. Nie było przecież sprzętu jednorazowego użytku. Lekarz dyżurny był jeden na cały szpital. Była też jedna dla wszystkich izba przyjęć, w której do południa królowała pani Zosia Jakuszek, z mrówczą pracowitością prowadząca całą statystykę szpitala. Lekarz dyżurny w dni powszednie przyjmował pacjentów na wszystkie oddziały, robił wizytę wieczorną w całym szpitalu, a w niedzielę robił ją dwukrotnie – rano i wieczorem. Wykonywał też drobne zabiegi chirurgiczne, ginekologiczne, podłączał kroplówki, transfuzje, asystował do operacji. Ordynatorzy zaś przez cały miesiąc w ramach pełnionej funkcji, nieraz kilka razy w nocy, byli wzywani do szpitala.

A los chorego? Na przykład zawał serca: chory przywieziony karetką, niesiony był na noszach przez sanitariusza i kierowcę: kilka schodów

w górę – izba przyjęć – kilka schodów w dół, 100 m przez podwórze, dwa razy po dwóch schodach i na I piętro oddziału wewnętrznego. Sala 4-, 8-osobowa lub przystawka, czyli łóżko polowe na korytarzu. Inna wersja: pacjent do operacji, obłożnie chory niesiony był na noszach na II piętro. Po przygotowaniu do zabiegu wnoszono go na noszach na I piętro, gdzie była sala operacyjna, a po operacji ponownie na II piętro. Nie było windy. Zresztą chorzy, niezależnie od pory roku, chodzili okryci kocami z czterech szpitalnych budynków do piątego, w którym mieściło się laboratorium i rentgen.

Dr Paul wykonywał pełen zakres operacji chirurgicznych i ginekologicznych. Narkoza kąpiąca na maskę groziła wybuchem, a jednocześnie truła cały personel sali operacyjnej. Nie była znana intubacja, a np. tarczycę operowana była w znieczuleniu miejscowym w pozycji półsiedzącej. Patrząc na to prosiłam Boga, bym nigdy nie była tak znieczulana i bym nigdy nie musiała tak znieczulać.

A ja, młody lekarz? Mieszkaliśmy na poddaszu pawilonu zakaźnego, początkowo z trzema salowymi, potem z jedną pielęgniarką na wspólnym pokoju. Na cały internat była jedna umywalka z okresowo ciepłą wodą. Na kawalerkę na ulicy Poznańskiej zaskużyłam dopiero po 5 latach – miała 19,5 m², ślępą kuchnię i łazienkę z brodzikiem. Byłam zachwycona, głaskałam ściany. Zresztą i tak pół miesiąca spędzało się na dyżurach zakładowych i w pogotowiu ratunkowym, stołując się w szpitalu. Jadało się w piwnicy, gdzie pachniało potrawami, stęchlizną, kapało z sufitu, ale potrawy były smaczne.

Te bardziej niż skromne warunki, dziś nie do pomyslenia, rekompensowała życzliwość personelu, czystość pomieszczeń oraz co najważniejsze pewność chorego, że w tym szpitalu o każdej porze otrzyma pomoc i łóżko, nawet gdyby parę godzin musiał spędzić na tzw. przystawce, czyli na łóżku polowym. Od tamtych lat minęło przeszło pół wieku, a tej pewności nie mają dzisiaj wyczekujący godzinami na przyjęcie do szpitala ciężko chorzy pacjenci. To w tych ogromnie skromnych warunkach lokalowych operowano, rodziły się dzieci, leczono ciężkie zapalenia płuc, zawały

serca, choroby nowotworowe i wiele innych. Niewielki arsenał leków z jedynym dostępnym antybiotykiem – penicyliną, niejednokrotnie kupowanym za dolary przez rodzinę chorego plus siły odpornościowe chorego: to musiało wystarczyć do wyleczenia. Po roku mojej pracy otrzymaliśmy do szpitala streptomycynę, a w chlorocid, który mógł stać się wybawieniem dla dzieci chorych na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych, pierwszą wyposażono weterynarię!

Dzień pracy zaczynał się krótką odprawą w dyżurce lekarskiej, gdzie lekarz dyżurny zdawał relacje z przebiegu dyżuru, pan dyrektor przekazywał aktualności i ogórne zarządzenia. Pracowałam 7 godzin dziennie, w soboty krócej o 2 godziny. Ze szpitala biegiem do Przychodni Lekarskiej na ulicę Mickiewicza, gdzie niecierpliwie czekało na przyjęcie 20-30 chorych i niejednokrotnie kilka wizyt domowych. Na wykonanie tej pracy przeznaczono pół etatu – za tyle płacono. Celowo tak dokładnie opisałam trudne warunki lokalowe, personalne i możliwości terapeutyczne, by uświadomić czytelnikowi na co mogli liczyć chorzy na oddziale zakaźnym szpitala w czasach, gdy nie stosowano masowych szczepień ochronnych, a lekarz nie dysponował znanymi i dostępnymi już za żelazną kurtyną surowicami do leczenia błonicy i tężca. Mogli liczyć jedynie na łut szczęścia i siły odpornościowe własnego organizmu. Wówczas dominowały schorzenia: żółtaczka zakaźna, dyfteryt, szkarlatyna, dur brzuszny, czerwonka oraz paraliż dziecięcy czyli choroba Heinego Medina. Tylko ciężkie przypadki odry, ospy wietrznej, półpaśca podlegały hospitalizacji. Nie było obowiązkowych masowych szczepień!

Postęp w zwalczaniu chorób zakaźnych zawdzięczamy mrówczej wieloletniej pracy setek czy tysięcy światowych uczonych. Wspomnę kilku z nich. W 1796 roku angielski uczony Edward Jenner jako pierwszy w świecie opracował szczepienie przeciw ospie prawdziwej. Spostrzegł, że dojarki pracujące w oborach mają niegroźne zmiany na skórze dłoni charakterystyczne dla ospy krowianki, ale nie chorują na ospę prawdziwą. Słusznie wnioskował, że zachorowalność na krowiankę chroni kobiety przed zachorowaniem na ospę prawdziwą. Śmiertelność na ospę prawdziwą wynosiła wówczas 80%. Eksperyment

przeprowadził na 8-letnim chłopcu, w ten sposób ustrzegł go od zachorowania. Wdrożono masowe szczepienia i z tego powodu w 1980 roku Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła, że ospa prawdziwa będąca jedną z największych plag ludzkości została uznana za eradykowaną, czyli nieistniejącą w naturalnym środowisku. Jaka była reakcja środowiska współczesnego Jennerowi? Mówiono, że zaszczepionym wyrastają krowie rogi! W przeszło dwa wieki później posłuchajmy reakcji naszego społeczeństwa na propozycję dobrowolnego szczepienia się przeciw ostrej chorobie zakaźnej układu oddechowego COVID 19. Czy jest inaczej? Kilkadziesiąt procent społeczeństwa to antyszczepionkowcy! W XXI wieku! Czym spowodowany jest opór? Jestem przerażona i zaniepokojona!

Znane są zasługi Polaka, Hilarego Koprowskiego, absolwenta Uniwersytetu Warszawskiego, twórcy szczepionki przeciw wirusowi polio, który badania z żywym osłabionym wirusem przeprowadzał na sobie. Doustna szczepionka podana małemu dziecku przyniosła sukces: wytworzyły się przeciwciała. W 1950 roku, gdy Polskę ogarnęła fala zachorowań na chorobę Heinego-Medina, Hilary Koprowski, mieszkający już wówczas w Stanach Zjednoczonych, ofiarował Polsce 9 milionów dawek szczepionek.

Natomiast Jonas Edward Salk, Amerykanin, wynalazca szczepionki przeciw grypie i twórca jednej ze szczepionek przeciw wirusowi polio nie zrażał się powikłaniami u zaszczepionych w 1955 roku dzieci. Udoskonalił szczepionkę i po próbach przeprowadzonych, dla uwiarygodnienia, na swoich synach i sobie, w 1962 roku doprowadził do masowych szczepień z dobrym efektem. Sumując: prace związane z produkcją szczepionek trwają przeszło dwa wieki, metody są sukcesywnie doskonalone. Ostatnio w mediach pojawiła się wiadomość, że w USA zatwierdzono pierwszy lek przeciw wirusowi COVID-19. To bardzo dobrze, że już. Należy jednak pamiętać, że najważniejsze jest zapobieganie, czyli profilaktyka poprzez szczepienia. Leczenie nawet cudownym lekiem to konieczność i nie zawsze daje oczekiwany efekt.

XX wiek zapisał się niewiarygodnym postępowaniem we wszystkich dziedzinach, jakiego nie obserwowano w dziejach ludzkości, także w medycynie. Zatem bezpodstawne jest twierdzenie, że trwające przez rok prace nad produkcją szczepionki przeciw wirusowi COVID-19 to zbyt krótki czas by była dostatecznie skuteczna.

Minęło przeszło 60 lat od czasu kiedy podejmowałam moją pierwszą pracę w śremskim szpitalu, w życiu wyszły trzy pokolenia, a ja jak dziś pamiętam, mam w oczach, duszące się, chore na dyfteryt umierające dzieci, którym nie zawsze pomagała wykonana tracheotomia. Tego się nie zapomina! Proszę pamiętać, że nie była wtedy znana intubacja, sztuczna wentylacja. Nie było respiratorów. W tym czasie na świecie tysiące ciężiej porażonych wirusem polio chorych musiało korzystać z żelaznych płuc!

Masowe obowiązkowe szczepienia spowodowały, że nie mamy w Polsce epidemii. Studentom medycyny nie można zaprezentować aktualnie chorego na dyfteryt, szkarlatynę, chorobę Heinego-Medina i inne, bo występują sporadycznie. Stąd nie mogę zrozumieć stanowiska części obecnego środowiska, które, mam nadzieję świadomie, nie poddaje się szczepieniom przeciw Covid-19. A może wolontariat na covidowym OIOM-ie byłby bardziej przekonujący niż moje słowa?

Apeluję! Proszę się zaszczepić! Tylko masowe szczepienia przyniosą wyzwolenie!

Leszek MAŃKOWSKI

Brniemy

Jestem, więc pytam

Żyjący gdzieś pomiędzy ruinami a krainą mlekiem i miodem płynącą. Zaczadzeni dogmatami i ideologiami. Budujący, pośród niesnasków, polski nieład. Pływający, na stepce, w wodzie z kisielom. Wybierający sobie kolejnych chochołów, człapiący pod ich przewodem.

Marzyć o świecie, w którym nikt nie jest zmuszany do wierzenia w to, co narzuca władza, dominująca kultura, tradycja, obyczaj... Tęsknić za krajem, w którym nikt nie jest poniżany, obrażany, pogardzany, wytykany palcami – za to, że wierzy w wartości, które nie mieszczą się w ustalonych przed wiekami kanonach... Oczekiwać czasu, gdy ludzie wolni będą dokonywać prawdziwych, świadomych wyborów... Marzenia.

Czy jeszcze mam marzenia? Chcę poznać, rozumieć świat? Próbować zrozumieć ludzi? Czy może jest tak, że ten dzisiejszy świat, za którym nie nadążam, tylko mnie przeraża? Że zagrożeniem są ludzie, których zrozumieć nie potrafię, nie chcę? Przerażająco jawi się przyszłość? Co przeważa – nadzieja, czy lęk? Pytam, szukam odpowiedzi, czy może – okopuję się w swoim mniemaniu, że wiem?

Co się dzieje, gdy budulcem mojego świata przestaje być nadzieja, gdy coraz bardziej zastępuje ją lęk przed innymi ludźmi, nieufność, podejrzliwość?

Odpowiedzi szukał, stosując metaforę kryjówki, Józef Tischner. „Niekiedy coś niedobrego dzieje się z ludzką nadzieją. Nadzieja jakby malała w człowieku, a wraz z tym maleje również przestrzeń jego życia. Gubi się gdzieś nadzieja rzetelna. Obcy staje się człowiekowi ethos nadziei.

Człowiek zamiast kroczyć swoją drogą, czuje się zmuszony szukać gdzieś w przestrzeni kryjówki dla siebie. W kryjówce tej chroni się przed światem i przed innymi. Przyszłość nie obiecuje człowiekowi nic wielkiego, pamięć przeszłości podsuwa mu przed oczy same doznane porażki, przestrzeń nie zaprasza do żadnego ruchu. Wprawdzie w kryjówce nadzieja nie znika bez reszty, tylko maleje, ale maleje do tego stopnia, że staje się jedynie nadzieją przetrwania. Człowiek w kryjówce wierzy, że nosi w sobie jakiś skarb. Skarb ten stara się schować głęboko, sam staje przy schowku i waruje. Miejsce, na którym stoi, otacza ściana lęku. Ku wszystkim ludziom zbliżającym się do kryjówki kieruje podejrzenie, że zbliżają się po to, by go okraść i zniszczyć”.

Człowiek w kryjówce uwierzył, że jest posiadaczem jakichś skarbów... Może są to skarby wspólnotowe – narodowe, czy religijne, może jakieś dobra własne, indywidualne. Dlaczego, przed kim tak ich broni? Czy stanie na straży nie ogranicza wolności? W imię czego człowiek nakłada sobie te okowy? Jest możliwe, by ktoś zabrał mu jego tożsamość?

Jestem wolny? Czy ktoś jest człowiekiem w pełni wolnym? Uzależniamy swoje myślenie, postrzeganie świata od stereotypów, złudzeń, iluzji. Zniewala nie tylko to, co na zewnątrz. Staję się ślepy i głuchy, kiedy uzależniam swój umysł od lęku i sposobów jego zaklinania. A czyż sam nie ograniczam swej wolności wtedy, gdy przekonany o własnej słuszności zamykam się, odbieram sobie szansę widzenia z innej perspektywy? Uważam, że jestem posiadaczem prawdy i nie dopuszczam do siebie innych możliwości. Chcę, aby inni przyjęli moją prawdę, ale... czy daję im

na to szansę? Czy sam nie zamykam przestrzeni na dialog? Jak postrzegam drugiego? Partner, sojusznik, rywal, przeciwnik, czy może wróg? Od tego też zależy moja wolność lub moje zniewolenie.

Gdzie żyję? W przestrzeni nadziei, czy kryjówki? Czy przejście z jednej do drugiej jest świadomym wyborem? Czy jest ono wydarzeniem czy postępującym procesem? „Przejście z przestrzeni nadziei w przestrzeń kryjówki jest upadkiem człowieka o głębokim etycznym znaczeniu. I chociaż nie jest to upadek w grzech, w świadomą i dobrowolną winę, to jednak jest to naprawdę upadek. Człowiek żyje na poziomie nijakości, poza dobrem i złem, jest ani winny, ani niewinny, jego odpowiedzialność znalazła się w stanie uwiązdu”.

Relatywizacja. Pouczanie innych nie wyklucza odmiennych standardów w odniesieniu do siebie

i swojej wspólnoty. Na poziomie teorii wyznają wyostrzoną czarno-białą wizję, w praktyce, w odniesieniu do siebie – bez kłopotu znajdą światłocienie, szarości, a nawet kolory. Bo, kto nie ma pokus? Zawsze można czarne nazwać białym. I jak w dowcipie o Stalinie: „A mógł zabić!”

Układ. Mówimy chętnie o układach gdzieś na górze. A sami? Nie tworzymy własnych układzików?

Dobre czy złe zmiany? Zło usprawiedliwione? Bo – kradną, ale się podzielią? A skoro im pozwalam, to ja też, podług swoich możliwości...?

Ale, ale – jeśli ja czynię zło, to moje zło jest mniejsze, usprawiedliwione, nie zawsze zależne ode mnie. Bo – przecież nie chciałem, musiałem przecież. A nawet – jeśli grzeszę, to inni grzeszą więcej ode mnie.

Fot. Roxana Tutaj



Czy skala zło-czynienia zależy tylko od możliwości robienia tegoż?

Polski folwark. Rodzina na swoim – naprawdę swoim? Załatwiamy. Że korupcja albo inny nepotyzm?... a skądże, toż to tylko zadbanie o swoich –?

Panoszące się chamstwo, władcza niekompetencja, kult prostactwa, pochwała cwaniactwa. Żenada, paranoja...
Widzę ciemność?

Czy tracąc nadzieję pozostanę wolnym? Będę wolnym w swojej kryjówce? Jak ścisły jest związek nadziei z wolnością? „Wolność człowieka i przestrzeń nadziei są ze sobą ściśle powiązane. Gdy zmienia się wolność, zmienia się również przestrzeń nadziei, gdy zmienia się przestrzeń nadziei, zmienia się również wolność człowieka. Tak może powstać kryjówka. Kryjówka to miejsce wolności zaleknionej, wolności zatroskanej potrzebą chronienia siebie. Otwarta przestrzeń nadziei to przestrzeń wolności zatroskanej potrzebą realizowania wartości”.

Skąd oni się wzięli, kto ich wybrał? Ale, czy to nie krew z krwi naszej? Czy pierwowzorem tego, co wyrabiają oni, tam na górze – nie jest to, co dzieje się w czterech ścianach domów, albo między sąsiadami...

A czy ci wybrani, namaszczeni, władczy, pewni siebie – też są ludźmi z kryjówek? Przemowy, nauki, kazania, zarządzenia, czy ustawy... to też można wygłaszać, ustanawiać we wnętrzu kryjówek.

Co wspólnego ma władza nad ludźmi z zamieszkiwaniem w kryjówce? Czy chęć władania jest cechą człowieka z kryjówki? Tischner pisze, że zamieszkujący kryjówkę też chce na swój sposób oswoić ludzi, świat, odpowiedzieć na swoje lęki. „Oswajać można dwojako: bądź przez zrozumienie, bądź przez zawładnięcie. Dla człowieka otwartej przestrzeni środkiem do oswajania jest rozumienie: człowiek ten czuje się swojsko wśród tych, których zrozumiał i którzy jego zrozumieli. Dla człowieka pozostającego w kryjówce, aby oswoić, trzeba osiąść, zawładnąć poddać sobie. Dla rozumiejących otaczających ich świat

jest tajemnicą, która fascynuje, zaprasza do poznania i przyjaźni. Dla „władców much” świat poza obszarem ich władania jest tajemnicą, która grozi i napawa lękiem”. Różnie można odpowiadać na lęk.

Odpowiedzią na lęk może być choćby mniej lub bardziej ostra agresja, może być też apatia. Przecież wokół siebie na co dzień nie widzę aż takiej agresji, nie doświadczam też takiej pogardy, nienawiści, takiego chamstwa jak widać na ekranach, w mediach. Może i tak, ale za to: ileż w nas obojętności: dla drugiego – obcego, dla przyszłości kochanych przecież dzieci i wnuków, dla tego, co wspólne...

Marazm, apatia, hipokryzja... „Dzięki Ci, Panie, że nie jestem jak tamten grzesznik”. Jakże wiele zamykania oczu wszędzie tam, gdzie trzeba je otwierać. Jakże wiele milczenia wszędzie tam, gdzie trzeba krzyczeć.

Czy długo jeszcze będziemy kopali rowy i łatali dziury w murach naszego skansenu? Czy długo będziemy umacniali twierdze, by do środka nie wdarli się ludzie, nad którymi nie mamy kontroli? Jak mogę zrozumieć świat, człowieka, jeśli nie rozumiem siebie? Czy w ogóle jest możliwe porozumienie po przeciwnych stronach wszystkich frontów naszej polskiej wojenki? Czy pozostaniemy w swych kryjówkach – mówiąc współcześnie: w bańkach? Zawsze będzie nami rządził Lęk?

Zuzanna von SALM

List do dziadka – Edwarda „Donia” Nowakowskiego

Doniu, w sierpniu obchodziłbyś kolejne, 84. już urodziny. Nie pozwalałeś mówić mi do siebie „dziadku”, bo niby to postarza. Kiedy się urodziłam, byłeś trochę rozczarowany, że nie jestem chłopcem. Miałeś mieć pierwszego wnuka, nie wnuczkę. Szybko więc zabrałeś się za robienie ze mnie twardzielki, i zaaplikowałeś życiowy trening godny członka rodu płci męskiej. Przed moimi pierwszymi urodzinami nauczyłeś mnie jak dmuchać świece, żebym na moim przyjęciu mogła samodzielnie rozprawić się z tortem. Mając 4 lata znałam już słowa wielu szant (łącznie z przekleństwami), do których przygrywałeś mi na akordeonie. W wieku 6 lat, kiedy miałeś się mną opiekować, oglądaliśmy „Z Archiwum X”. Kiedy ze strachu zasłaniałam oczy, mówiłeś mi „mała, nie ma się czego bać”.

Moją bojaźliwość starałeś się też ujarzmić zabierając na cmentarz po zachodzie słońca, każąc mi (na trzęsących się nogach), biegiem kilka razy go okrążyć.

Aż w końcu, w wieku 8 lat, mimo że nadal nie zamieniłam się w chłopca, zobaczyłam w Twoich oczach szacunek i akceptację, kiedy na wspólnych wakacjach w górach nieustraszenie zjechałam na nartach „czarną trasą”. Twoje oczy miały ten sam błysk, kiedy wyrzucona z żaglówki do Morza Adriatyckiego, w końcu byłam zdolna popłynąć i żabką, i kraulem. Zostałam wtedy nazwana czułym przydomkiem „Kuka” i dodana do Twojej specjalnej, sekretnej „życiowej załogi pirackiej”. Nasza więź była już nierozrwalna kiedy urodził się Luke – mój kuzyn, a Twój wymarzony wnuk (nareszcie chłopak!). Dokładnie pamiętam Twój dumny wyraz twarzy tego wielkiego dla naszej rodziny dnia.

Mając... naście lat przyleciałam do Ciebie na Florydę, gdzie budowałeś Zu&Lu – żaglówkę

nazwaną tak od inicjałów pierwszych imion nas, wnuków). Mieszkaliśmy razem na wpół-dokończonej żaglowce, zacumowanej w małej marinie. W ciągu dnia pomagałam Ci polerować maszt, który wkrótce królował na pokładzie, a wieczorem chodziliśmy na spacer po porcie i zawsze wracaliśmy z niego z jakąś nową częścią do żaglówki, którą znajdowałeś przy śmietniku. Czasami było mi wstyd, czasami było mi trudno, kiedy mówiłeś prosto z mostu co mogłabym zrobić lepiej, ale nigdy nie było mi z Tobą nudno. Zawsze wyciągałam z tych doświadczeń kolejne nauki – skromności, zaradności, pracowitości i zdolności do niemarnowania niczego. A także stawiania sobie celów i dążenia do nich z wielką wytrwałością. Tak jak Ty spełniłeś swoje marzenie o przepłynięciu Atlantyku na Zu&Lu. Kto by przewidział, że te Twoje nietypowe metody

Fot. Tomasz Buchwald



nauczania tak mi się przydadzą w dorosłym życiu, kiedy los rzucił mnie w świat, daleko od domu, na głęboką wodę życia. To hartowanie mnie na odważną twardzielkę wiele razy uratowało mi tyłek...

W naszej rodzinie, tak pełnej kobiet, byłeś szanowany jako patriarcha, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Wiele umiałeś zbudować, wszystko umiałeś naprawić. Czasami narzekałeś, tak dla zasady, ale nigdy nie odmawiałeś nam pomocy. Można było na Tobie zawsze i we wszystkim polegać. Jako ten zodiakalny Lew potrafiłeś być uparty i surowy, ale to dodawało Ci uroku. Żyłeś prosto, prawdziwie, szczerze i niesamowicie szczęśliwie. Kochałeś całym sercem. Uwielbiałeś chodzenie „pod rączkę” ze swoją Bachną. Wasze wzorcowe i spełnione małżeństwo ustawiło nam wszystkim bardzo wysoko poprzeczkę, w poszukiwaniu partnera na życie. Pamiętam do-

brze otrzymywane „grzesie” – tak nazywałeś buziaki. Pamiętam oglądane z Tobą w telewizji mecze albo skoki narciarskie. Kawkę piłą dokładnie w południe każdego dnia. I pamiętam też, jak niecałe dwa tygodnie przed śmiercią, usłyszawszy muzykę, poderwałeś się do tańca ze mną i moją córką – Twoją prawnuczką.

Ale najbardziej lubiłeś przygodę. Tłumaczę sobie często, że nie mogąc pogodzić się z faktem, że Twoje ciało odmówiło Ci szansy na kolejne przygody, odszedłeś w miejsce gdzie przygód Ci nie zabraknie. Wiem, że kiedyś tam się znajdziemy, bo ja, dzięki Tobie, też wyrosłam na poszukiwaczkę przygód. Do tego czasu, wiedz że kocham, tęsknię i jestem Ci za wszystko niezmiennie wdzięczna. Żyjesz w naszych sercach Doniu, Dziadku, Kapitanie!

„W górę szkło! Pij za tych, co na lądzie, aż po dno!”



Marta TOK

Na ostro-kwaśno

Opowiadanie

Curry na szybko: pokrojone w dużą kostkę kawałki fileta z dorsza doprawić solą, następnie obtoczyć w 1 łyżce przyprawy curry oraz w mące ziemniaczanej. Rozgrzać olej roślinny np. rzepakowy w woku, włożyć rybę i bardzo szybko obsmażyć. Odłożyć. W łyżce oleju roztopić łyżkę pasty red curry, wlać 1/3 szklanki bulionu warzywnego i gotować przez ok. 3 min. Dodać 1/3 puszki pomidorów bez skórki, 4 liście kaffiru lub gałązkę trawy cytrynowej, gotować przez ok. 4-5 minut. Dodać rybę, mleko kokosowe oraz sok z limonki. Wymieszać i gotować przez 2-3 minuty, uważając, by się ryby nie rozgotowały. Jeśli chcesz bardzo pikantne curry dodaj papryczki chili, najostrejsze są te małe okrągłe. Ale długie czerwone, też się sprawdzają.

Zanim do tego doszło madame Linette van Gerd nie bała się niczego. Podróżowała samotnie od czterdziestu lat, nie tylko po Europie – Francji, Włoszech, Hiszpanii czy rodzinnej Szwajcarii. Zapuszczała się czasem w dużo bardziej odległe zakątki świata. Co roku na przykład spędzała styczeń i luty w Zanzibarze, po kolei w trzech różnych luksusowych pensjonatach położonych bezpośrednio przy plaży. Już ją tam znano. Nie tylko dlatego, że zostawiała niezłe napiwki pokojówkom i kelnerom, jak się dobrze nią opiekowali, rzecz jasna. Po prostu wyróżniała się z tłumu – starsza pani, starannie ubrana w doskonałej jakości jedwabne lub płócienne sukienki, może w dawno przebrzmiałym stylu, ale klasyka się nie starzeje, tak uważała, w białych przeciwsłonecznych okularach, modnych w latach pięćdziesiątych, ozdobionych diamentami, z nieodłączną brzydką, ale praktyczną skórzaną czarną torebką z charakterystycznym logo Yves Saint Laurent. Diamenty na jej okularach były oczywiście prawdziwe, tak,

jak i te, które nosiła na palcach w oprawie z białego złota, obok innych cennych pierścionków, prezentów od świętej pamięci męża, szwajcarskiego jubilera. Błyskały na jej chudych opalonych rękach, szczupłych i niegdyś pięknych, teraz już popstrzonych, niestety, plamami wątrobowymi. Trudno, skończyła osiemdziesiąt dwa lata i szczerze mówiąc miała gdzieś, co o niej sobie myślą inni. Osiągnęła wolność, którą daje starość czyniąca kobiety niewidzialnymi. Była teraz stara, niezależna i dzięki Bogu, bogata.

Linette van Gerd widziała zaciekawione spojrzenia nielicznych podróżników, którzy, tak jak ona korzystali z dobrodziejstwa lata w środku europejskiej zimy, ale nie zwracała na nie uwagi. Tak, jak nie wchodziła w większe konwersacje ze spotykanymi po drodze podróżnikami. Banalna wymiana informacji, kilka grzecznych zdań o pogodzie, to wszystko. Linette lubiła swoją samotność. Codziennie wczesnym rankiem siadała w wygodnym fotelu na zacienionym tarasie pod wielką juką, nieopodal wściekle pomarańczowego krzewu bugenwilli i obserwowała ruch na plaży zanim przyniesiono jej kawę, croissanty z dżemem oraz świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy.

Przed incydentem z przyjemnością patrzyła na przemierzających w różnych kierunkach Tanzańczyków, zgadując dokąd w takim pośpiechu zmierzają. Młody mężczyzna w niebieskiej koszuli, zawiązujący po drodze krawat, pędził pewnie do pracy w jakimś ośrodku turystycznym, albo może na pocztę? A te dwie kobiety w tradycyjnych pomarańczowo-czerwonych szatach i żółtych chustach, uginające się pod ciężarem swoich koszy, to pewnie wieśniaczki idące na pobliski niewielki targ. Co one niosą? Batały?

Owoce pomelo? Trochę później pojawiali się sprzedawcy turystycznych pamiątek obwieszani koralikami i małutkimi puzderkami pełnymi lokalnych ziół i przypraw. Bez przekonania proponowali towar nielicznym o tej porze plażowiczom, ale z daleka, nieśmiało. Nie mieli prawa wchodzić na teren hotelowych ogrodów. Potem szli dalej ciężkim krokiem, smutni handlarze zapachów, na zawsze niepewni swego losu. Madame von Gerd było ich żal, toteż czasami, bardzo rzadko, kupowała od nich kolorowe pamiątki. Jednak jej ulubionym momentem, tuż po pierwszej kawie, było pojawienie się dzieciaków szkolnych w błękitnych mundurkach, ledwo pozapinanych koszulkach, na bosaka, zaspanych, przekrzykujących się i popychających wesoło. Tak, zanzibarska plaża o białym drobnym piasku ze szmaragdowym oceanem w tle, była malowniczym traktem i Linette bardzo lubiła te wczesne poranki, zanim słońce nie rozpoczęło swojej niszczącej działalności. Wtedy drobnym, lekko chwiejnym krokiem, z powodu sandałów na niewielkich obcasach, oddalała się z torebką na ramieniu w kierunku swojej luksusowej willi, zwanej tu, nie wiedzieć czemu „bungalowem”. Jakiś kolejny amerykańizm, myślała z pogardą, przekonana o zaśmiecającym wpływie języków anglosaskich na jej rodzinny francuski.

Jej nieduża willa stała nieco na uboczu, otoczona kwietnymi krzewami i intensywnie czerwonymi drzewami, zwanymi tu płomieniem afrykańskim. Obok rosły dwie wspaniałe, modelowe wręcz palmy. Z drewnianej werandy można było dostrzec ocean, jednak miejsce było wystarczająco oddalone od plaży i hotelowego baru, by cieszyć się spokojem i w głębokim cieniu czytać lub szkicować okoliczną roślinność, co Linette z wielką przyjemnością robiła. Wnętrze domu było bardzo luksusowe – wielkie łóżce z baldachimem, salon z dwiema skórzanymi kanapami, miękki dywan i wykładana marmurem łazienka. Podłoga, rama łóżka, stolik kawowy oraz wszystkie wykończenia zrobione były z doskonale wypolerowanego mahoni, na ścianach powieszono gustowne maki, a zastony nawiązywały do ulubionych wzorów zanzibarskich kobiet, w ten sposób nikt nie miał wątpliwości, że znajduje się jednak w Afryce, a nie na przykład w Grecji. W południe Linette uciniała sobie krótką drzemkę w klimatyzowa-

nym pokoju, a potem zakładała odpowiednią do pory płócienną sukienkę „haute-couture” i szła zjeść samotny lunch w ogrodzie, jak zwykle obrzucana bardziej lub mniej dyskretnymi spojrzeniami współbiedniaków. Wieczorami, przed kolacją, piła w ogrodzie swój ulubiony egzotyczny koktajl na bazie rumu, czasami dwa, a co tam, przecież nie miała daleko do sypialni, i czekając na kolację robiła notatki w swoim skórzanym zamkniętym złotą klamerką dzienniku. Opisywała tam widoki, kolejnych podróżników zatrzymujących się na dzień czy dwa, zaobserwowane obrazy z plaży. W ten sposób zapamiętywała wiele rzeczy, którymi mogła potem podzielić się z Dorothée i Luisem, jedynymi przyjaciółmi, którzy jej jeszcze zostali. Linette van Gerd nie zwiedzała. Nie jeździła na wycieczki. Nie konwersowała. Po prostu spędzała czas w egzotycznych okolicznościach przyrody, z dala od szalejącej w Genewie śnieżnej zimy. Mogła sobie na to pozwolić, Henry zostawił jej nadspodziewanie dużo pieniędzy. Za jego życia nie podróżowali za wiele. Mąż lubił po pracy odpoczywać w fotelu we własnym domu. Latem na tarasie, zimą przy kominku. Teraz Linette nadrabiała stracony czas i miała silne przekonanie, że ani choroba, ani żadne inne losowe zdarzenia nie pokrzyżują jej planów. Aż do tego dnia.

Wieczór był wyjątkowo duszny i wilgotny, a wypite daiquiri trochę za bardzo szumiało Linette w głowie. Zjadła na kolację pyszną rybę niewiadomej nazwy, posiedziała chwilę obserwując przyjęcie przygotowane na plaży tuż nad brzegiem oceanu dla dwóch ślicznych dziewcząt i ich rodziców – lampiony, wesołe śpiewy hotelowej obsługi niosącej tort ze świeczkami, prawdopodobnie urodziny. Potem poszła się położyć w kąjącym chłódzie swego łóża z baldachimem. Nagle ze snu wyrwało ją łomotanie do drzwi. Brzmiało groźnie, ale madame van Gerd nie bała się byle czego.

– Kto tam? – zapytała stanowczym głosem.

– Obsługa! – Odpowiedział głęboki głos po angielsku z miejscowym akcentem.

Linette posłuchała. Stało tam ich z pięciu – wysocy, bardzo czarni, z maczetami w ręku. Białka ich oczu błyskały w mroku, gdy popychając ją wdarli się do środka. Ostry zapach ich ciał wypełnił pokój.

– Sejf, otwieraj sejf! – wydarł się największy

z napastników.

– Ale ja tu nie mam sejfu... *I don't have a safe hier...* – wyszeptała przerażona Linette, zgodnie z prawdą.

Wtedy jeden z nich chwycił ją brutalnie za rękę i zaczął zdzierać z jej palców pierścionki.

– Otwieraj sejf! – wysapał herszt chwytając pełną garścią za jej jedwabną koszulę nocną i przykładając ostrze maczety do jej szyi. – *Not joke with me old woman!* – pluł jej prosto w twarz grubymi wargami.

Pozostali rozbiegli się plądrując wnętrze, wywracając szuflady i zrywając ze ścian afrykańskie maski. Przekonując się, że sejfu rzeczywiście nie ma, coś zawołał do bandziora, który z przekleństwem pchnął Linette z całej siły tak mocno, że przewracając się uderzyła o twardy kant stolika i upadła tracąc przytomność.

Kiedy się ocknęła przez chwilę nie wiedziała gdzie jest i co się stało. Dopiero po paru sekundach wróciły straszne wspomnienia. Leżała cicho i nasłuchiwała. Nikogo. Tylko w powietrzu unosił się dziwny ostry zapach, może spoconych ciał, może strachu... Czują pulsujący ból głowy w miejscu, gdzie uderzyła. Z trudem wstała. Jej piękny pokój wyglądał jak pobojo-wisko. Ubrania, kosmetyki, dekoracja ścian, wszystko na podłodze, na tym szuflady komody, drzwi szafy otwarte, walizy spłądrowane. Kasetki na biżuterię nigdzie nie było widać. Jak i grubego portfela z dolarami. Ani torebki z telefonem w środku. Padły łupem bandytów. Nerwowo podeszła do mniejszej walizki leżącej w kącie. Wśród leków i kosmetyków, których jakimś cudem napastnicy nie wzięli, znalazła papierowe opakowanie z pigułkami nasennymi, sprawdziła je – ukryta pośród tabletek złota karta kredytowa była na swoim miejscu. Odetchnęła z ulgą. Ostrożnie wyszła na taras. Cisza. Nienaturalna wręcz cisza niepokoiła ją. Co się stało z obsługą? Dlaczego nie widać światła recepcji? Postanowiła zabarykadować się i przeczekać do rana.

Leżała w mroku nasłuchując. Nocne ptaki odzywały się od czasu do czasu, słychać było kojący szum morza. Ale rajska przystań została skażona. Zniszczono brutalnie sferę komfortu Linette, jej pewność siebie, a nade wszystko – poczucie bezpieczeństwa. Chciało jej się płakać. Nie było jej

tak żal skradzionych przedmiotów, czy pieniędzy, co utraty bezpiecznej przystani, którym do tej pory był dla niej ten pensjonat. Uświadomiła sobie nagle, jaka jest stara i samotna... Dlaczego nikt nie nadchodził na ratunek? Gdzie się wszyscy podzieli? Ze ściśniętym sercem nasłuchiwała szmerów za oknem. W końcu wstała, wzięła aspirynę i mocny środek nasenny.

Obudziło ją ciche pukanie do drzwi. Była to Roza, pokojówka z białym szerokim uśmiechem.

– Oj, jak długo dziś spać madam! Prawie południe! Nie słyszeć nic dziś w nocy? Bo w hotelu włamanie! Bandyci! Sejf rozwalić! – opowiadała machając rękoma. – Wszyscy, wszyscy być w hotel Lotos na pokaz afrykańskich tańców i potraw... A madam ok?

Linette wpuściła ją do środka. Na widok pobojo-wiska Roza złapała się za głowę.

– Trzeba na policję – wyszeptała przestraszona. – *You, you ok?*

Linette potwierdziła. Nie chciała pozwolić Rozie sprzątać.

– Później, później... – machnęła ręką, zamknęła drzwi i położyła się z powrotem spuszczaając muślinowe firanki baldachimu.

Rozmyślała, co robić dalej. Pierścionków ani pieniędzy nie odzyska, to było oczywiste. Skoro hotel pozostawiono bez opieki na noc, to pewnie wszyscy byli tu w zмовie, menager, ktoś z obsługi i oczywiście policja. To Afryka, po prostu. Szkoda biżuterii od Henry'ego, ale nie to było najważniejsze. Na koncie miała więcej, niż dosyć pieniędzy, by kontynuować podróż. Ale czy chciała? Na samo wspomnienie ubiegłej nocy żołądek podchodził jej do gardła. Przeżyła strach, jakiego nigdy nie doświadczyła. Strach o życie. A tyle jeszcze miała planów, tak wiele chciała w życiu zrobić i zobaczyć. Miała przecież doskonałe zdrowie. Tylko że nagle uświadomiła sobie swoją bezbronność i kruchość... Nie wiedziała, czy ma odwagę kontynuować. Może lepiej wracać do Genewy, zaszyć się w mieszkaniu z wido-kiem na znajome ulice, odzyskać utracone poczucie bezpieczeństwa... A co, jak i tam przyjdą bandyci? To bardzo łatwe, mieszkała sama w dużym domu, w bogatej dzielnicy...

– Nie, nie, nie! – Linette nagle usiadła na łóżku. – Mam nagle ze wszystkiego zrezygnować?! Po tylu latach oczekiwania, by wreszcie móc robić

to, co chcę?! Niedoczekanie. ...Która to godzina? Pora lunchu pewnie... Jeszcze mnie nie znacie – szepnęła pod adresem niewidzialnych zbójów... Z trudem zwlekła się z łóżka. Głowa ją wciąż bolała. Łyknęła kolejną aspirynę. Zrobiła staranną toaletę. Założyła najładniejszą ze swoich sukienek, jedwabne kimono od Balanciagi oraz jakimś cudem ocalałe okulary z diamentikami, wzięła do ręki swój diariusz ze złotą skuwką i zamykając cicho drzwi za sobą poszła wolnym krokiem do ogrodowej restauracji.

Udając, że nie widzi współczujących i ciekawskich spojrzeń nielicznych gości (Rozal miała widocznie długi język), usiadła przy swoim stoliku. Na widok podchodzącego rośłego kelnera przeszły ją niespodziewane dreszcze. Ale opanowała się. Był to przecież dobrze jej znany John.

– Co dziś na obiad? – zapytała po prostu.

– Curry z rybą, madame. Ale możemy też podać owoce morza w sosie cytrynowym z ryżem oraz...

– Poczekaj – przerwała mu Linette. – Pikantne to curry?

– Oj tak, madam, mocno pikantne... – zaśmiał się John, – Ale możemy...

– Nie, wezmę curry. Im bardziej pikantne, tym lepiej. Muszę poczuć, że żyję – powiedziała stanowczo madame van Gerd.

Przy stole nieopodal siedziała sympatyczna polska rodzina – rodzice z kilkunastoletnią córką. Teraz dziewczynka po krótkiej naradzie z rodzicami wstała i podeszła do stolika starszej pani. Była bardzo ładna z tymi swoimi gęstymi, długimi włosami.

– Przepraszam madame, – powiedziała grzecznie nienagannym angielskim – rodzice serdecznie zapraszają panią do nas na lampkę szampana przed obiadem...

Linette spojrzała w ich stronę. Patrzyli na nią z uśmiechem.

– *Why not* – odpowiedziała po sekundzie milczenia... – Raz się żyje, prawda?

Zanzibar, Fot. www.discoverafrica.com/safaris/zanzibar/highlights/



Adam LEWANDOWSKI

Nomadland

Warto przypomnieć

Oscary na trwałe związały się z literaturą. Po wybitne literackie dzieła sięga wielu reżyserów. To już chyba trzeci rok z kolei, w kilku słowach, dokonują na łamach naszej gazety krótkiej oscarowej analizy. 93. ceremonia wręczenia Nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej zorganizowana została w reżimie sanitarnym. Największą wygraną jest Chloe Zhao, laureatka Oscara za najlepszą reżyserię, której *Nomadland*, zgodnie z przewidywaniami, wygrał w kategorii najlepszy film. Wśród aktorów triumfowali Frances McDormand i Anthony Hopkins, wybitni, z ogromnym dorobkiem aktorzy, którzy zapisują się w historii kina wielkimi kreacjami. Frances McDormand została już po raz trzeci nagrodzona Oscarem. Moim ulubionym filmem są *Trzy billboardy za Ebbing Missouri*, za rolę za którą również otrzymała Oscara. Mam nadzieję, że obecna produkcja *Nomadland* pozwoli na rozkoszowanie się jej aktorstwem.

Nomadland nie jest typowym przykładem kina drogi. Łączy w sobie fikcję i elementy reportażu. Frances McDormand przetrzuca worki z burakami, czyści toalety, czy segreguje przesyłki. Otoczona jest postaciami granymi przez nieprofesjonalnych aktorów. Życie nomadki, jakie świadomie wybrała pozwala jej również zmierzyć się z żałobą. Zamknąć proces, z którym nie potrafiła sobie poradzić. Największym atutem filmu Zhao jest to, że nie pretenduje do kina społecznego.

Tegoroczna gala pokazała, że Oscary mogą być świętem kina, jednocześnie będąc blisko zwykłych ludzi. Zarówno w prezentacjach poszczególnych kategorii, jak i w przemowach wygranych, dominowały osobiste historie, anegdoty i poruszające wyznania. Trochę tak jakby Akademia

Filmowa chciała pokazać, że filmowcy to też zwykli ludzie. Najlepszym aktorem został Anthony Hopkins, który mistrzowsko zagrał w *Ojcu Floriana Zellera*. Hopkins to wybitny walijski aktor, a także kompozytor i artysta malarz. Jego role w filmach *Milczenie owiec*, *Ciernista droga*, *Bunkier* to dzieła niezapomniane.

Najlepszą aktorką drugoplanową została Youn Yuh-jung, która w zachwycający sposób wcieliła się w babcię w filmie *Minari* Lee Isaaca Chunga. Oznacza to, że Glenn Close wyrównała „rekord” Petera O'Toole'a, który był ośmiokrotnie nominowany w kategoriach aktorskich i nigdy Oscara aktorskiego nie zdobył. O'Toole otrzymał jednak Oscara za całokształt twórczości w 2003 roku. Close była już wcześniej najczęściej nominowaną aktorką bez wygranej.

Najlepszym drugoplanowym aktorem został Daniel Kaluuya, który wcielił się w jednego z tytułowych bohaterów w filmie *Judas and the Black Messiah*. Już przy ogłaszaniu listy nominowanych wielu komentatorów zastanawiało się nad tym,



dlaczego Akademia nominowała w tej kategorii dwóch aktorów wcielających się w główne role.

Najlepszym filmem międzynarodowym został duński obraz *Na rauszu*, nagrodzony m.in. Europejską Nagrodą Filmową, BAFT-ą czy francuskim Cezarem. Opowiada o grupie kolegów, która przeprowadza eksperyment, sprawdza, czy prawdą jest teoria naukowca, który twierdzi, że rodzimy się z niedoborem alkoholu w organizmie. Duński reżyser Thomas Vinterberg w trakcie przemowy nie ukrywał, że scenariusz oparty jest o jego osobiste doświadczenia, nagrodę zaś zadeedykował swojej córce, która tragicznie zginęła w wypadku na autostradzie. A miała zagrać jedną z ról w filmie. Filmowiec nie próbował kryć łez, bez wątpienia był to jeden z bardziej wzruszających momentów tegorocznej gali.

Oscara za zdjęcia nie dostał jedyny nominowany w tym roku Polak – Dariusz Wolski. Przegrał z Erikiem Messerschmidtem, operatorem filmu *Mank*. *Mank*, film który opowiada o tym, jak powstawał scenariusz do *Obywatela Kane'a* otrzymał już dwie statuetki. Czyli o jedną więcej od *Obywatela Kane'a*.



Po tej smutnej dla nas informacji pojawił się na scenie Harrison Ford, który wręczał nagrodę za montaż. Ku uciesze zebranych na sali zażartował ze swojego filmu *Łowca Androidów*: przeczytał z kartki listę uwag, które sporządzono przed zmontowaniem tego klasyka kinematografii. Nie były wcale miłe. A potem ogłosił, że wygrał film *Dźwięk metalu*.

Jeden z ciekawszych momentów gali nastąpił, kiedy Glenn Close, pomimo przegranej, radośnie zatańczyła w trakcie krótkiej przerwy.

W tym roku najwięcej statuetek, bo trzy, dostała produkcja *Nomadland* (reżyseria, najlepszy film, aktorka pierwszoplanowa). Później stawka była mniej więcej wyrównana, po dwie nagrody dostały takie produkcje jak *Mank* (scenografia, zdjęcia), *Co w duszy gra* (najlepsza animacja, muzyka), *Dźwięk metalu* (montaż, dźwięk), *Judas i Czarny Mesjasz* (aktor drugoplanowy, piosenka), *Ojciec* (scenariusz adaptowany i aktor pierwszoplanowy) oraz *Ma Rainey: Matka bluesa* (charakteryzację i kostiumy). O mocnym debiucie może mówić też zdecydowanie Emerald Fennell, która dostała nagrodę za najlepszy scenariusz oryginalny do *Obiecującej. Młodej. Kobieci* z dodatkowymi nominacjami dla najlepszego filmu i reżyserii.

Kina zostały w końcu otwarte. Czas na seanse. Oby zostały z nami przez dłuższy czas.

Marta WOJTYSIĄK

Mój Rzym. Część 4

Lato rozgościło się w Rzymie na dobre. Słońce pieczołowicie spełnia swą powinność, deszczowe chmurki nie mają odwagi mu się przeciwstawić, uciłł też wiatr. Oddalamy się zatem od murów centrum, odpuszczamy autobusy. Wrzucamy na siebie lekkie odzienie, wygodne sandały i wyruszamy szukać ochłody.

Zacniemy od Via Appia Antica, matki rzymskich dróg. Jej budowę rozpoczął cenzor Appiusz Klaudiusz w 321 r. p.n.e. Początek miała przy Forum Romanum, gdzie znajduje się kamień milowy, od którego mierzono wszystkie drogi rzymskie. Stąd wzięło się powiedzenie „Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”. To wzdłuż niej dokonywano pochówków, budowano starożytne wille, grobowce i katakumby. Tędy wyruszały legiony rzymskie, kupcy, podróżni, posłańcy cesarscy. Według relacji historycznej to tu, na około 200 kilometrowym odcinku z Rzymu do Kapui ukrzyżowano 6 tys. niewolników z oddziałów Spartakusa. Kościół głosi zaś, że tą drogą ok. 64 r. p.n.e. wracał do Rzymu św. Piotr, co upamiętnia kościół Santa Maria In Palmis, ten sam, który zainspirował Henryka Sienkiewicza do napisania *Quo vadis*. W XIX w. odrestaurowano jej fragment, 11 mil rzymskich oznaczonych kamieniami milowymi, który kończy się na wysokości miasteczka Ciampino.

Dwa razy odwiedziłam Via Appia. Będąc pierwszy raz w Rzymie, zwiedziłam Katakumby św. Kaliksta, miejsce niezwykle, robiące ogromne wrażenie... Płatanina podziemnych korytarzy z niszami na zwłoki wyrzniętymi w ziemi, oznaczonymi często starochrześcijańskimi znakami. I te drugie, mniejsze, św. Sebastiana. Wtedy tylko rzuciłam okiem na drogę wyłożoną kamiennym brukiem, często wybrakowanym, zniekształconym kołami powozów, na który spokojnie kładł

się cień otaczających ją drzew i słyszał było ptasie trele. Jednocześnie panowała jakaś wzniosła cisza.

Kolejny raz także wybrałam się latem. Kupiliśmy owoce, kanapki, wypożyczyliśmy rowery i wyruszyliśmy na wycieczkę tą drogą magiczną i spokojną, by daleko gdzieś przysiąść na trawie, w ramionach czasu zatrzymanego zjeść posiłek i napawać się miejscem. Tutaj lato nie jest dokuczliwe, ale nie tylko po to się tu jedzie. Samo przebywanie w tym miejscu jest jak stanie na skrzyżowaniu napierającej zewsząd historii, zdarzeń, które tworzyły dzieje Wiecznego Miasta. Moim wielkim marzeniem było przyłożenie ucha do jednego z brukowych kamieni... Może zapisał w sobie tętent kopyt, stukot kół i szuranie stóp wędrowców? Przy lotnisku Ciampino można wejść na Via Appia Antica i przejść nią aż do Rzymu. Z walizką byłoby to trudne, z plecaczkiem już nie. To najpiękniejszy sposób w jaki można dotrzeć do serca miasta.

Innym razem cienia poszukamy na wzgórzu Pincio, w znajdującym się tu parku Villa Borghese. To tu widywałam najpiękniejsze zachody słońca z widokiem na miasto. Często przygrywał jakiś muzyk, ludzie śmiali się, robili zdjęcia, jedli lody. Idąc w głąb parku możemy spocząć w cieniu, wypić kawę w niezwyklej kawiarni La cosina dell'orologio. Udać się do Gallerii Borghese by podziwiać prace Caravaggio, Rafaela Santi, Tycjana. To tutaj zobaczyć możemy rzeźbę *Apollo i Dafne* zmieniającej się w drzewko laurowe, stworzoną przez dwudziestopięcioletniego Berniniego, a przez Owidiusza pięknie opisaną. Po wyjściu z Gallerii położymy się na trawie i długo będziemy patrzeć w niebo.

A może spakujemy plecak i udamy się na plażę? Na dworcu Termini wsiądziemy w pociąg, by



Fot. Łukasz Pietrzak

40 min później zawitać do Anzio (w starożytności Antium), gdzie miał swoją willę cesarz Neron. Jest to małe, nadmorskie miasteczko, z pięknym kawiarnianym placikiem, klimatycznymi uliczkami, cudowną piaszczystą plażą i wieloma świetnymi restauracjami specjalizującymi się w owocach morza, w tym moją ulubioną *Da raimolo al porto*. Tu odetchniemy. Odgłosy wiecznego miasta zamienimy na szum fal, piski dzieci, gorący piasek i lenistwo.

A może udamy się na spacer po Palatynie wśród ruin starożytnych pałaców i bibliotek? Ach, jak tu zawsze pachnie bukszpan! I jak delikatnie owiewa wiatr, którego wcale nie czuć wśród rozgrzanych murów miasta. Możemy też zaszyć się w Muzeach Watykańskich, w Galerii Barberini a może w pałacu rodziny Pamphilj, gdzie bez końca wpatrywać się można w *Caravaggio*, a w sali balowej, kiedy nikt nie widzi, oczy zamknąć i *pi-ruet* zrobić, w lustrach starych się poprzeglądać, poźółkłe ściany pod dłońią poczuć.

Ach! Tyle jest możliwości! Ma tyle falban i kolorów sukienka pani Romy!

Możemy też udać się na wędrówkę kulinarną.

Z tych doznań najmilszych na zawsze pozostanie we mnie zapach podsmażanego na oliwie z oliwek czosnku, rankiem w jakimś mieszkaniu, niosący się po wąskich uliczkach. Woń truflii u Leszka na straganie. Pizza bianca przełożona świeżymi figami. Sałatka z surowymi grzybkami cezara. Daktyl królewski z orzechem włoskim w środku. Karczochy po rzymsku i po żydowsku. Kwiaty cukinii w cieście naleśnikowym. *Makaron cacio è pepe* u Mario – pamiętam jak mnie ostrzegał, że to mocny smak, taki dla mężczyzn. Ja pokochałam go od razu. Do dziś pamiętam też kolację w restauracji przy *Piazza Farnese*, gdzie najpierw oprowadzona po jej pięknym wnętrzu zasiadłam w ogródku, z którego obserwować mogłam przybywających gości. Były to pary, często starsze, podwożone pod drzwi przez swoich kierowców. Politycy, dyplomaci, ludzie eleganccy i dystyngowani. Wyglądało to jak scena z filmu o rzymskiej arystokracji. Mój makaron w aksamitnym sosie ze świeżą truflą startą przez leciwego kelnera był dopełnieniem tego wieczoru. Szukałam później tego smaku w wielu daniach i nigdy nie znalazłam. *Ave* więc chwilo, która



Fot. Łukasz Pietrzak

trwasz! To Ciebie wielbić trzeba w momencie tym, by później nie szukać tego co się przez nieuwagę utraciło. Jest też w tych wspomnieniach kawa na Piazza del Fico, wypita w cieniu drzewa figowego w towarzystwie panów grających w szachy. Bułeczki z łososiem i malinami w Roscioli. Sałatka cezara w barze Filetti di Baccala. Kuleczki młodego groszku wyjadane z worka na fontannie z widokiem na Panteon. Zbyt mocna kawa wypita w Getto przy chwiejącym się stoliczku. Parmigiana jedzona wieczorem w jednej z restauracji na Monti, a później lody z lodziarni tuż obok, spalaszowane na rozgrzanym murku. Piszząc to uświadamiam sobie, że tym właśnie jest życie. Niczym byłyby dania najpyszniejsze, zapiski historii najpiękniejsze, obrazy, rzeźby, gdyby nie nasze zachwyty. To my możemy tchnąć ducha w postacie w obrazach zastygłe, błysk w oku na malowidle wypatrzyć, to że szata się pięknie układa wychwycić. Nad grymasem ust się zadumać. Rękę swą mocno trzymać, kiedy wyrwa się by choć opuszką palca musnąć dzieło któregoś z Mistrzów. Czym byłby boski makaron i pizza gdyby się ktoś nią nie zachwycił,

na podniebieniu nie poczuł i dyskretnie lży poruszenia nie otarł? Czym byłby aniołek ukryty gdzieś na gzymsie przez nikogo nie zauważony i mury gorące ręką nie dotknięte? Krzywizna bruku pod stopami nie poczuła i uśmiech starszego pana przez nikogo nie odwzajemniony? Życie... To my jesteśmy życiem. My ożywiamy sobą to, co było. My, ślemy to dalej opowieścią, radością, doznaniem.

Jest też druga strona. Jak pisał Franco Battiato „[...] ponieważ potrzebuję twojej obecności żeby lepiej zrozumieć moją istotę [...]”. Nieważne co miał na myśli pisać „twojej”. Nieważne co nas budzi. Poznając otaczający nas świat, możemy poznać i poczuć siebie. Wszystko obraca się w wielkim kręgu pięknej zależności.

Gdziekolwiek więc dotrzesz drogi wędrowcze, wtop się w to miejsce. Zatrzymaj się. Poczuj pod stopami. Dotknij. Wąchaj. Smakuj. Chłoń.

Ja w tym mieście nauczyłam się prawdziwie wielbić chwilę, która trwa. Nie biegnę za róg zobaczyć jak wygląda kolejna. Nie cofam się by obejrzeć minioną. Emocjom pozwalam wmieszać się w krew i krążyć. Docierać prosto do serca.

KWESTIONARIUSZ KULTURY



Fot. Złoty Liść Studio Fotografii Plastycznej

JOLANTA ANDRZEJEWSKA

Bydgoszczanka z urodzenia. Polonistka z wykształcenia. Od 32 lat mieszka w Śremie. Przez 20 lat prowadziła Księgarnię przy Rynku. Właścicielka Cafe Ole mieszczącego się w miejscu dawnej księgarni. Uwielbia podróżować, zwiedzać, odkrywać historię i kulturę malowniczych zakątków Europy. Teatromanka. Jeden z filarów Amatorskiej Kompanii Teatralnej. Miłośniczka książek, kina i dobrego wina. Kocha Kretę (nie tylko). Od 10 lat pisze do „Gazety Śremskiej” felietony o książkach

1
Kim jestem...

Kobietą pracującą.

2
**Co jest najważniejszym osiągnięciem
mojego życia...**

Mój syn, rzecz jasna.

3
W czym jestem dobra...

Zdarza mi się dobrze gotować.

4
Co jeszcze chcę osiągnąć...

Zrealizować kilka marzeń z młodości.

5
Co chcę w sobie zmienić...

Chciałabym mieć więcej pogody ducha. Ale na to tabletek nie ma, a kokainy nie biorę. Jeszcze.

6
Co daje mi szczęście...

Walking, cooking and talking – spacerowanie, gadanie i gotowanie z najbliższymi.

7
Najważniejszy dzień w moim życiu...

Były dwa: pewien dzień w czerwcu czterdzieści lat temu oraz inny, też w czerwcu, dziewięć lat później.

8
U przyjaciół najbardziej cenię...

Szczerść i akceptację mimo wszystko. I gotowość do długich rozmów przez telefon.

9
Bohaterstwo to dla mnie...

Znoszenie poważnych przeciwności losu – biedy, choroby, utraty bliskich, wygnania – z odwagą i pogodą ducha. Specjalność kobiet pod każdą szerokością geograficzną.

10
Epoka, w której chciałabym żyć...

Tu i teraz jest nieźle, ale kolejna epoka może być

łaby jeszcze ciekawsza.

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Wolę o tym nie myśleć, ani nie pisać....

Najcenniejsza rzecz, jaką posiadam...

Związek z fajnym człowiekiem.

Moja największa wada...

Wybuchowość? Gadulstwo? Pesymizm? Chciałabym mieć jedną największą wadę.

Główna cecha charakteru...

Kontrolowanie wszystkiego. Z różnym skutkiem zresztą.

Moje motto życiowe...

Trzeba łapać byka za rogi.

Ulubiony dźwięk...

Sopran koloraturowy.

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Pogwizdywanie doprowadza mnie do szału.

Nie mogłabym żyć bez...

Szeroko pojętej kultury: książek, filmów, wystaw i teatrów.

Co wzbudza we mnie lęk...

Choroba.

Moje ukryte marzenie...

Chciałabym śpiewać w chórze. Ha, ha.

Dar natury, który chciałabym posiadać...

Talent malarski.

Zawsze śmiesz mnie...

Eddy Izzard.

Słowo, którego nadużywam...

K...wa, oczywiście.

Zdanie o mnie, które zapamiętałam...

„Byłaś kiedyś taka młoda”... No, kurczę...

Myśl, która pojawia się, gdy nie jest najlepiej...

Trzeba uciekać na Kretę.

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Osobom bliskim wybaczam wszystko, jak tylko gniew przechodzi.

Wolność to dla mnie...

Siedzieć w cieniu z lampką wina, z książką pod ręką, najlepiej z widokiem na morze i mieć w perspektywie kilka, a najlepiej kilkanaście wakacyjnych dni wędrówki w nieznane.

Kim chciałabym być, gdybym nie była tym, kim jestem...

Chyba jednak brytyjską pisarką piszącą przy dziewiętnastowiecznym biurku z widokiem na urwisko i bezkresny ocean.

Obecny stan mojego umysłu...

Kierat nie ma końca, choć jakieś światło zawsze się świeci. Na końcu tunelu.

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Kimś, od kogo coś dobrego kiedyś otrzymali.

NASZTALENT : Olga Rydzewska



OLGA RYDZEWSKA

Rocznik 2001. Zodiakalny Baran. Ubiegłoroczna maturzystka. Absolwentka śremskiego Liceum Ogólnokształcącego. Studentka Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej na UAM w Poznaniu. Mieszka w Śremie.

Kolejna młoda, utalentowana, aktywna, ciągle jeszcze poszukująca swojego miejsca osoba. Pełna emocji, pomysłów, otwarta na wyzwania, gotowa do działania. Ma zdecydowane, jasno określone poglądy i nie waha się ich wyrażać – działaniem i pisaniem. W tych czasach to odważne.

Oprócz studiowania i pracy znalazła jeszcze czas na realizację kolejnej pasji – tym razem artystycznej.

Jak mówi, musiała się czymś zająć. Czymś, co pozwoli jej przełać emocje, a jednocześnie wyciszyć się, odreagować. Odcięcie od ludzi, życia w grupie, przemieszczania się, ciągły strach o najstarszą w rodzinie – babcię, skumulowane emocje, tłumiony gniew i niezgoda na to co dzieje się wokół. Wszystko to bardzo źle na nią działało. A że rysowanie, malowanie i inne artystyczne działania bardzo lubiła już od najmłodszych lat, postanowiła „spróbować się” w nowej dziedzinie. Wybrała glinę, mimo, że przedtem nigdy z nią nie pracowała. No i zaczęły powstawać pierwsze przedmioty i przedmiociki, małe kolorowe, cudaczne, fantazyjne formy. Popielniczki, naczynka na biżuterię, figurki, pierścionki... Lepi wszystko co przyjdzie do głowy jej i osobom, które pokochały jej wytwory i chcą mieć coś swojego. Lepi z gliny, potem suszy, maluje, lakieruje. Kolorami i wymyślnymi kształtami dodaje surowej i minimalistycznej glinie nieco pikanterii i smaczku. Fotografuje i pokazuje na swojej stronie – sklepiku aspazja.or

„Nazwę sklepiku wybierałam wraz z moimi przyjaciółmi. Uwielbiam profil na instagramie *codziennienoweslowo*. Tam właśnie znalazłam *aspazję*. W przenośni, nie dosłownie słowo to znaczy ambita, inteligentna i piękna kobieta. Propozycji było kilka, ale ostatecznie padło właśnie na to. Nazwę wybrali moi znajomi, a ja dodałam do niej swoje inicjały”.

Studia, praca, pisanie, lepienie glinianych „cudeniek”... Czy starcza czasu na coś jeszcze? Olga nie umie żyć bez ludzi, przyjaciół, spotkań i roz-



Fot. Olga Rydzewska

mów z nimi. To dostarcza jej energii, motywuje do działania. Umie dobrze zorganizować sobie czas, więc ma go też na czytanie, pisanie i słuchanie muzyki... I działania społeczne związane z sytuacją w kraju.

„[...] Bycie dla ludzi jest moim obowiązkiem, siłą napędową mojego życia. Człowiek i jego uczucia, prawa i bolączki to jego nieodłączna składowa. Moje działania uznaję za naturalne, kierowane człowieczeństwem, najzwyczajszą w świecie empatią. Za to, co piszę i mówię często dostaję rykoszetem – byłam radykałką, aborcjonistką, idiotką, dziewczuchą, która myśli, że zmieni świat. Wulgarną kurewką i opłacał mnie Soros. Właściwie wciąż czekam na przelew. Nic nigdy jednak nie odwiedzie mnie od myśli, że jestem na tym świecie dla kogoś, nie tylko dla siebie. Dany mi czas chcę wykorzystać w stu procentach, a aktywizm uważam za szczególne do tego pole. Pole ogromnie wdzięczne, trudne, naznaczone łzami, wkurzeniem, ale też wielką satysfakcją. [...]”

Jestem... sobą do granic możliwości.

Chciałabym... robić kreatywne, dobre rzeczy, żyć z ludźmi i dla ludzi.

Myślę o... tym gdzie wszechświat zdecyduje się mnie wysłać.

Inspiruje mnie... właściwie to inspirują – ludzie, natura, piękne i dziwne rzeczy.

Potrafię... głośno krzyczeć na protestach i walczyć z całych sił.

Lubię... życie. Bardzo.

Muszę... nauczyć się zdrowo odpoczywać.

Żałuję... niczego nie żałuję, za wszystko jestem wdzięczna.

Boję się... życia w kraju, który chce mnie ograniczać, samotności i ciem.

Joanna CHMIELEWSKA

Ludzie w niedzielę

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...

mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

Rok 1929. Berlin. Koniec szalonej, mającej wpływ na świat dekady, tak zwanej Ery Weimarskiej. Napisano Berlin Alexanderplatz. Nakręcono Błękitnego Anioła z Marleną Dietrich. Powstała szkoła Bauhaus. Był Brecht i Weill, ekspresjonizm i Benjamin Walter... Chociaż film, o którym dzisiaj opowiem, powstał w szczególnie kruchym momencie historii – między niedawnym załamaniem giełdy a powstaniem narodowego socjalizmu w Niemczech, jego liryzm wywołuje dziwne poczucie spokoju, czystości.

Ludzie w niedzielę (tytuł oryginalny *Menschen am Sonntag*) to film niemy. Jest fascynującym obrazem tego, jak wyglądało codzienne życie milionów młodych Berlińczyków tuż przed ciężkim okresem I i II wojny światowej.

Tym, którzy nie słyszeli o filmie, przywołam nazwiska osób, które nad nim pracowały. Prawdopodobnie najbardziej znany jest wielki Billy Wilder (wtedy zaledwie dwudziestoletni), który napisał prosty ale znakomity scenariusz na podstawie pomysłu braci Roberta i Curta Siodmaka. Film wyreżyserował Edgar B. Ullmer, później znany twórca filmów klasy B w Hollywood.

Film miał premierę w lutym 1930 roku i został przyjęty przez krytyków z bezgranicznym entuzjazmem. Od tego czasu jest celebrowany przez historyków filmu po obu stronach Atlantyku, z których wielu widziało w nim zapowiedź włoskiego neorealizmu i francuskiej Nowej Fali, a to dodało oczywiście *Ludziom w niedzielę* pewnej aury. Do tego niejasne początki filmu – powstawał podczas serii namiętnych rozmów wśród członków ekipy, z zapisków nabazgranych na serwetkach w berlińskiej kawiarni Romanisches Café. Mglista historia produkcji tylko dodaje mu tajemniczości. Jednak w tym momencie, długo po

tym, jak opowieści i legendy zostały opowiedziane, *Ludzie w niedzielę* zasługują na powtórnej ocenę, jako dziwnie kluczowy, wpływowy film, jak i jako mały klejnot, jakim jest.

Obsadzając amatorów w rolach opartych na ich prawdziwej codziennej pracy, z ich prawdziwymi imionami, filmowcy byli w stanie zaoferować niezwykle uczciwy i prawdziwy obraz świata. Publiczność mogła się utożsamiać w ten sposób z tymi samymi problemami, obyczajami, marzeniami i niepokojami. Mamy tak więc w filmie kierowcę Erwina Spletstössera, siedzącego za kierownicą taksówki z berlińską tablicą rejestracyjną IA 10088. Uroczą sprzedawczynię płyt Brigitte Borchert, przed sklepem „Electrola“, która w zeszłym miesiącu, jak głosi napis, sprzedała 150 egzemplarzy przeboju *In einer kleinen Konditorei* (W małej cukierni). Jest też wysoki i szczupły Wolfgang von Waltershausen, oficer, rolnik, sprzedawca książek, pracujący jako wędrowny handlarz winem, zaciągający się papierosem z wyrazem oczywistej pewności siebie. Jest także bardzo szykowna, wytworna Christl Ehlers, która wchodzi chyba do studio castingowego i wreszcie Annie Schreyer, modelka, leżąca, piłująca paznokcie, oczekująca na następną pracę. Fabuła filmu jest bardzo prosta. Film w zasadzie zaczyna się w sobotę. W samym sercu Berlina, w pobliżu stacji metra Bahnhof Zoo. Pośród zgłętku, handlu i ruchu ulicznego dochodzi do przypadkowego spotkania dwójki młodych ludzi. Wybierają się razem do kawiarni na lody i po krótkiej rozmowie postanawiają spotkać się także następnego dnia. Kiedy jednak następnego dnia, w niedzielę, każde z nich pojawia się z najlepszym przyjacielem, spotkanie staje się swawolną podwójną randką nad jednym z pobliskich berlińskich jezior.



Obserwujemy więc czworo bohaterów słuchających muzyki, pływających, piknikujących, pływających na rowerach wodnych. Ogólnie rzecz biorąc młodzi starają się dobrze bawić podczas tego gorącego dnia nad jeziorem.

Styl filmu jest naturalny, oprawa bezpretensjonalna, a atmosfera, być może sedno projektu, bezwstydnie zalotna. Zdjęcia, ruchy kamery i montaż są niezwykle pomysłowe i bardzo piękne, jak na początki kinematografii. Ale walory estetyczne filmu w żaden sposób nie podważają gry młodych aktorów-amatorów. Chwile nieśmiałości, zmysłowości i erotyki uchwycone są z delikatnością i niezwykłą autentycznością. Poczucie intymności nieprofesjonalistów i zdjęcia plenerowe naprawdę dodały prawdziwości filmowi.

To, co widzimy na ekranie jest rzeczywiście dość trywialne w porównaniu z wielkimi wydarzeniami historycznymi rozgrywającymi się w tamtym czasie. Nie oznacza to jednak, że jest oderwane od rzeczywistości. Bo na pierwszy rzut oka film

Ludzie w niedzielę może nie wygląda na produkt swoich czasów. Nie ma w nim imponującej scenografii. Nie ma kabaretu i ponurej atmosfery, jak to miało miejsce w innych filmach z tej epoki. Filmowo przypomina bardziej *Do utraty tchu* Jeana-Luca Godarda z lat 60. niż nieme *Metropolis* Fritza Langa, które powstało trzy lata wcześniej. Dzisiaj film *Ludzie w niedzielę* zdaje się być jak cenna para kolczyków uratowanych ze stosów popiołu wulkanicznego w Pompejach – żywy artefakt, mówiący coś ważnego o tamtych czasach. Według mnie kluczowe dla filmu jest to, że najzwyczajniej w świecie „chwytą dzień”! Nawet dzisiaj, dziewięćdziesiąt lat po premierze, ten list miłosny do Berlina wciąż olśniewa! Polecam bardzo!

Jolanta ANDRZEJEWSKA

Opowiadania bardzo poetyckie

Z górnej półki

Jennifer Croft jest tą tłumaczką, która uczyniła Olgę Tokarczuk sławną w anglojęzycznym świecie, przyczyniając się być może do przyznania naszej genialnej pisarce literackiej nagrody Nobla. Już w 2018, otrzymała wspólnie z Tokarczuk najważniejszą brytyjską nagrodę literacką The Man Booker International Prize za tłumaczenie *Biegunów*. Co zabawne, echa tej książki odnajdujemy pod koniec *Odeszło, zostało* – zaskakującego poetyckiego utworu Jennifer Croft.

Jej pierwsza książka jest niczym odnaleziona po latach tajemnicza skrzynka ze skarbami z dzieciństwa. Wszystkie ukryte w niej przedmioty – muszelki, skamieliny, ułamane groty strzał, szkiełka, miniaturowe buteleczki perfum, złote wstążeczki, fotografie – związane są z jakimś ważnym momentem z przeszłości. Każdy z tych przedmiotów opowiada historię, która dawno już odeszła w zapomnienie, jednak niegdyś była niezwykle ważna, wypełniając nasze dziecięce życie smutkiem albo radością.

Utwór Jennifer Croft trudno nazwać klasyczną powieścią, to raczej zbiór krótkich anegdot, które dotyczą dwóch dziewczynek – starszej Amy i jej cztery lata młodszej siostry, Zoe. Jednak poprzez spójność czasu i miejsca, a także raczej chronologiczny opis zdarzeń, zbiór opowiadań tworzy dynamiczną całość, która ewoluuje w efekcie w pasjonującą powieść z akcją i rodzajem się powoli napięciem. Amy jest *spiritus movens* ich intensywnego dzieciństwa, Zoe zaś jej cieniem oraz miłością, bez której życie straciłoby sens.

Co jakiś czas młodsza siostra „wyrusza w świat” biorąc ze sobą kolorową walizeczkę z bardzo ważnymi przedmiotami. I to właśnie starsza Amy

odnajduje Zoe w jakichś zakamarkach ogrodu, gdyż czuje, że jej misją jest czuwać nad siostrą, nawet bardziej niż rodzice, którzy wielu spraw po prostu nie rozumieją. Co roku, w Boże Narodzenie, dziewczynki moszczą się przed kominkiem w tipi, małym namiocie postawionym tam dla nich przez rodziców i recytując po wielokroć listy wymarzonych podarunków pod choinkę, czekają na Świętego Mikołaja, dla którego po raz kolejny przygotowały ciasteczka i mleko, z nadzieją, że tym razem uda im się podejrzeć go w akcji. Niestety, zawsze zasypiają wtulone w siebie, zanim ten moment nadejdzie. W czasie tornada (mieszkają w Oklahomie) chowają się w spiżarni, nigdy nie zapominając o rytuałach: tylko trzy lalki na raz i książeczka. Przytulność małego pomieszczenia bez okien i szeptane rozmowy lalek Zoe sprawiają, że Amy drzemie w poczuciu bezpieczeństwa, z dala od szalejącego tornada i wszystkich katastrof świata, o których mama z upodobaniem czyta dziewczynkom z gazet, chcąc najprawdopodobniej je ostrzec i uzbroić na przyszłość.

Z powodu poważnej choroby młodszej siostry, a także dlatego, że wyjątkowo uzdolnionej Amy zwykła szkoła już nie wystarcza, dziewczynki uczą się w domu. Paradoksalnie, najszcześniejszym momentem ich krótkiego życia jest ten, kiedy tata traci pracę profesora na miejscowym uniwersytecie i może cały swój czas i wiedzę poświęcić córkom. W ruch idą atlasy świata i inne książki geograficzne, odkrywając przed dziewczynkami nieznane lądy i cywilizacje. A także, co szczególnie ważne dla Amy, przyszłej tłumaczki, poznają istnienie języków obcych. Najbardziej fascynuje je Rosja i Ukraina, z ich łyżwiarstwem figurowym i przystojnymi łyżwiarzami. Amy

i Zoe oglądają w napięciu transmisje z mistrzostw świata, dopingując rywalizujące ze sobą drużyny Europy Wschodniej i cieszą się ze zwycięstw swoich idoli. Naturalną koleją rzeczy, w ich domu pojawia się młody ukraiński nauczyciel, student taty, który dobrze zna oba języki. I tak, szalenie uzdolniona Amy uczy się ambitnie ukraińskiego, zaś Zoe rosyjskiego, chociaż z powodu choroby, no i tego, że ma tylko dziesięć lat, przychodzi jej to trudniej niż siostrze. Jakże jednak mogłaby zrezygnować? Zawsze robią wszystko razem. Nadchodzi jednak moment nieuchronnej rywalizacji... Ich wspólny nauczyciel języków, Sasza, jest ładnym jasnowłosym młodzieńcem, a Amy wchodzi w wiek dojrzewania. Coraz bardziej skupia się na sobie i swoich emocjach, a gdy niespodziewanie dochodzi do pewnego tragicznego zdarzenia, z właściwym dla swojego wieku uporem, Amy zamyka się w sobie. Dotychczasowe beztroskie i mimo choroby Zoe, pogodne życie dziewczynek zmienia się nie do poznania. A właściwie definitywnie znika, niczym puszysty kot pozwalający się głaskać godzinami, aż do momentu, gdy nieoczekiwanie wyciągnie pazury, by boleśnie zadrapać.

Przyznam, że ta niby-powieść Jennifer Croft wydała mi się dziwna. Mam wrażenie, że autorka uchodząca za osobę skrajnie nieśmiałą, trochę za mocno ukrywa swoje intencje i czytelnik czuje się momentami zagubiony. Jednak nie na tyle, by lekturę rzucić w kąt. Gdzieżby tam! Za bardzo chcemy dowiedzieć się, jak ta niezwykle intymna i z pewnością autobiograficzna historia się skończy.

Co ciekawe, książka jest bogato ilustrowana wielkimi zdjęciami autorstwa samej Jennifer Croft, a także jej matki, Laurie. Są to, jak sugeruje pisarka, prawdopodobnie zdjęcia polaroidowe, te same, które jej bohaterka robiła z upodobaniem od dzieciństwa. Zdjęcia-pamiątki, niejednoznaczne, artystyczne, których uzupełnieniem są znajdujące się pod nimi komentarze, będące w większości ewokacjami do Zoe. W zasadzie, „czytając” kolejne zdjęcia odkrywamy niejako nowy utwór, paralelną, nieoczywistą poetycką opowieść, która jest niczym innym, jak hymnem miłości do młodszej siostry, chorej, potem z niejasnych powodów odepchniętej, lecz na zawsze niezapomnianej.

Kończymy tę w sumie smutną książkę z nadzieją, że nigdy nic nie przepada na zawsze, wszystko jest do odrobienia, tylko potrzeba dystansu, zrozumienia i na pewno cierpliwości. W dzisiejszych trudnych czasach jest to chyba nieźle przesłanie.

Jennifer Croft
Odeszło, zostało
 tł. Robert Sudół,
 Wydawnictwo Literackie 2021



Ewa BIAŁY

O formach muzycznych – od rondo do suity

Wszystko gra

Cóż to takiego jest forma w muzyce. Forma to najczęściej inne określenie kształtu, a muzyka przecież nie ma kształtu. Nie można powiedzieć, że jest prostokątna, kwadratowa czy okrągła? Chwileczkę. Okrągła bywa. Zaczniemy naszą opowieść od formy rondo.

Rondo od razu kojarzy nam się z czymś okrągłym. Kto w ruchu drogowym wymyślił rondo, czyli inny sposób krzyżowania się dróg, tego nie wiem. Takie skrzyżowanie, na którym ruch odbywa się w jedną stronę dookoła wyspy lub placu z pewnością rozładowuje miejskie korki. Ale rondo to również forma literacka, odmiana winorośli i rodzaj pisma. W wielu miastach rondo mają specjalne nazwy i są punktami orientacyjnymi tak samo jak ulice. Więc czym rondo jest w muzyce? Też punktem orientacyjnym, ale dźwiękowym. Jest formą, sposobem w jaki kompozytor opracowuje materiał muzyczny, czyli buduje, przekształca melodię, harmonię czy rytm. Akurat ta forma muzyczna zwana rondem, ma coś wspólnego z rondem w ruchu drogowym. Wyobraźcie sobie Państwo, że temat muzyczny, czyli główna melodia – nazwijmy ją melodią A – powtarza się w kółko. To tak, jakby wjechać samochodem na rondo i nie móc zjechać. I robić to oczywiście z przyjemnością i odrobiną złośliwości. Tak jeździć, jeździć i nikogo na to rondo nie wpuszczać. Tylko z czasem, jak się zrobi nudno, dla zabawy wpuścić inny samochód. Te inne samochody, to inne melodie, nazwijmy je B, C, D i wpuszczamy je w taki sposób, żeby nigdy melodia A nie łączyła się z melodią A – czyli żebyśmy nigdy nie jeździli tylko sami ze sobą. Bo forma muzyczna to gra. Zabawa. Rodzaj układania dźwięków, fraz, linii melodycznych, rytmu, harmonii w interesujący dla kompozytora i słuchaczy sposób. Ale

forma to jednocześnie coś, co narzuca pewien porządek. Rondo brzmi więc jak przeplatanka. Przeplata tematy muzyczne A, B, A, C, A, D, A. Ot i cała tajemnica. Jeśli teraz Państwu powiem, że temat A to refren a tematy B, C, D to kuplety, to wszystko staje się proste. Oczywiście to klasyczne rondo. A właściwie renesansowe, ponieważ nazwa „rondo” w muzyce po raz pierwszy pojawiła się około roku 1300 we Francji i była nazwą formy taneczno-instrumentalnej. Potem rozpowszechniła się po całej Europie i spopularyzowała jako samodzielna forma lub jako część innych form. Innymi słowy w XIV wieku śpiewano i tańczono wykonując utwór tego typu. Natomiast w XV zdarzało się, że łączono już ze sobą rondo i inne tańce. Najpierw w pary a potem w dłuższe cykle. Tak jak dzisiaj na dyskotecę. Można powiedzieć, że dzisiejsza muzyka taneczna, gdzie każdy z utworów nie trwa dłużej niż 3 minuty, to współczesna wersja suity barokowej. W muzyce forma suity to cykliczna, czyli wieloczęściowa forma instrumentalna, zbudowana z kilku lub nawet kilkunastu części, głównie tańców. Źródło suity to oczywiście wspomniane już łączenie tańców w pary a potem w dłuższe cykle. To przeplatanie kontrastujących pod względem charakteru i tempa tańców miało charakter użytkowy i niewiele się do dzisiaj w tym zakresie zmieniło. Rozkwit suity jako formy muzycznej nastąpił w późnym baroku. Jej podstawa to zbiór czterech tańców;

- niemieckiego Allemande – tańca kochanków, w XVII wieku tańczonego w spektaklach baletowych, a pod koniec XVIII wieku królującego na salonach jako forma tańca tańczonego w parze ze skomplikowanym i wymyślnym trzymaniem rąk, dającym możliwość dotykania partnerki.

- francuskiego courante – który był tańcem przede

wszystkim solowym i teatralnym, o niezwykle wysokim poziomie technicznym, tańczonym na wszystkich dworach Europy, również w Polsce. Tańczony na balach jako układ jednej pary i rozpoczynający wszystkie tańce. Nazywano go tańcem niskim, czyli nieskocznym, wykonywany był powoli, dostojnie i poważnie.

- hiszpańskiej sarabandy – z orientalnej Sewilli, tańczonej na balach i w teatrach całej Europy, często wykonywanej z kastanietami. Sarabanda tańczona była w wolnym, powściągliwym tempie, pełna elegancji, a zarazem swego rodzaju żywotności i dynamizmu. Jednak jej XVI-wieczna, hiszpańska, pierwotna odmiana była tańcem szybkim, pełnym temperamentu. Wykonywano ją do tekstów śpiewanych przez kurtyzany, więc uważana była za taniec uwodzicielski, wobec czego w 1583 r. objęto ją zakazem wykonywania.

- angielskiej giga – tańczonej w Anglii jako taniec komiczny w formie burleski, czasami nawet akrobatyczny, we francuskich baletach stanowiła przykład najwyższego poziomu techniki i wirtuozerii tanecznej. Formy gig w metrum 6/4 lub 6/8 zachowują szybkie tempo, skoczny, szalony charakter. Oparte są na podskokach i niekończących się obrotach.

Oczywiście to, co pojawia się w literaturze muzycznej baroku to często już stylizowana muzyka. Tańce już nie „do tańczenia”, raczej „do słuchania”, połączone formą suity z nietanecznymi fragmentami, takimi jak np. aria czy preludium. Ale proeuropejskie. Promujące kulturę wielu narodów. Dziś forma suity to ta, która odżyła w okresie romantyzmu w muzyce orkiestrowej i fortepianowej, wchłaniając nowe formy taneczne i nietaneczne. Od tego czasu suitę tworzy się już nawet z fragmentów muzyki operowej, baletowej, teatralnej i filmowej.

Dzisiejsza muzyka taneczna czy ta stylizowana, czyli baletowa, czy wykorzystywana na przykład w sporcie takim jak jazda figurowa na lodzie, czy w tańcu towarzyskim – to też rodzaj suity.

Suita to słowo pochodzenia francuskiego oznacza następstwo, kolejność. Nie jest więc niczym wyjątkowym. A muzyka, do której dzisiaj tańczymy też jest pełna ruchu, czasem akrobacji i namiętności, czy dostojęństwa. Mimo, że świat tak bardzo się zmienia i zmienia się forma tańca i forma muzyki, nasze namiętności, potrzeba dotyku partnerki, wspomniane dostojęstwo czy szaleństwo – pozostają bez zmian.

Urszula ŁUKOMSKA

Pory roku w malarstwie. Część 4 – lato

*Lato. Lato jest zawsze wyjątkowe,
czy to gorące czy zimne, suche czy wilgotne.*
Gustave Flaubert

Zacytowałam znanego francuskiego pisarza, bo podobnie myśleli pewnie malarze przełomu XIX i XX wieku, gdyż różnorodność ich podejścia do tematu jest trudna do określenia, a mój wybór przedstawi zaledwie cząstkę... Lato to najpiękniejsza, bardzo kolorowa pora roku. Artyści usiłowali oddać jej urok w malowniczych pejzażach, scenkach rodzajowych, portretach na tle krajo-
brazów, obrazach symbolicznych, martwych naturach z bukietami kwitnących latem kwiatów itd.

Polscy malarze podobnie jak ich koledzy na Zachodzie pod koniec drugiej połowy XIX wieku zaczęli malować w plenerze, obserwując naturę bezpośrednio, a nie tylko na podstawie szkiców. Już Gerson z uczniami w Warszawie, a Stanisławski w Krakowie zapoczątkowali bezpośrednią obserwację motywów i przeżywania „na gorąco”. Wręcz zmagania się z tematem. Wielu młodych artystów wyjeżdżało do Paryża, stykało się z nowatorskimi trendami w sztuce impresjonistów i postimpresjonistów, a po powrocie do kraju próbowało stosować te metody, niestety rzadko z akceptacją odbiorców. Najwyraźniej widać to w obrazach Pankiewicza i Podkowińskiego. Za ledwie roczny pobyt w stolicy Francji, fascynacja obrazami Moneta i Cezanne’a zupełnie zmienił ich realistyczną dotąd paletę i sposób nakładania farby. Józef Pankiewicz namalował wówczas *Targ na kwiaty przed kościołem św. Magdaleny w Paryżu* (1890), obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego w Poznaniu. Scenka rodzajowa z dwiema młodymi kobietami przechadzającymi się obok straganów z mnóstwem

kwiatów, namalowana jest z lekkością i wdziękiem. Dziewczyny w kolorowych sukienkach na tle barwnych stoisk prowadzą jakąś rozmowę, dzień jest słoneczny, światło rozjaśnia podłoże, błękitne cienie delikatnie kontrastują, a mnogość kolorowych pojemników z kwiatami podkreśla atmosferę lata. Władysław Podkowiński początkowo sceptycznie nastawiony do zmian namalował drugi ze sztandarowych przykładów fascynacji nowymi trendami – obraz *Mokra Wieś – chłopiec w stawie* (1892), który również znajduje się w poznańskim MN. To znakomity pejzaż wiejski namalowany słonecznymi barwami, przenikającymi się i wręcz mieszającymi w oku widza. Namalowana w mazowieckiej Mokrej Wsi, należącej do malarza Juliana Maszyńskiego, przyjaciela Władysława, oddaje znakomicie aurę ciepłego letniego dnia. W tle mamy kilka wiejskich chałup rozłożonych pod wielkimi drzewami na drugim brzegu stawu, sylwetki białego ptactwa żerującego nad wodą. Woda odbija letnie niebo i drugi brzeg, a mały chłopiec po wejściu do niej beztrząsco uderza patykiem powodując powstawanie wodnych kręgów. Podkowiński namalował też uroczy obraz *Dzieci w ogrodzie* potocznie „chłopiec z konewką”, który powstał w dobrach przyjaciół Kotarbińskich, a tytułowy chłopiec to późniejszy słynny filozof Tadeusz Kotarbiński. Wyjazdy do znanych ludzi ze sfer towarzyskich i naukowych lub zamożnych właścicieli ziemskich były nagminne, bo wiązały się często z możliwością zakupu przez nich powstałych prac. Kiedyś przeczytałam wynurzenia Aleksandra Gierymskiego, który napisał, że malowanie w dobrach szlacheckich przeciągnął o trzy miesiące, bo był tak dobrze karmiony i znakomicie traktowany. Zatem najwięcej letnich pejzaży powstało na kresach, na Ukrainie, ale i we



Józef Pankiewicz *Targ na kwiaty przed kościołem La Madeleine*, fragment obrazu

Włoszech, dokąd jeżdżono po natchnienie i nowe doznania. Bardzo ciekawe są nieduże obrazy Jana Stanisławskiego szczególnie *Ule na Ukrainie* z 1895 r., wyraźnie nawiązujące do konwencji impresjonizmu, czy seria przepięknych *Bodaków*, zawsze z motywem kwiatów na pierwszym planie i pejzażem w dalszym, o których Adam Grzymała-Siedlecki napisał „Stanisławskiemu sama natura była kompozycją, nie zaś podstawą do kompozycji”. Stąd też tak swojsko brzmiące tytuły: *Pole kapusty*, *Dziewanna*, *Malwy*, *Stodoły w Pustowni*, *Step*, *Wieś na Ukrainie*. Wokół Stanisławskiego zebrało się spore grono uczniów, „małych mistrzów”, takich jak Kamocki, Szczygłowski, Filipkiewicz, Czajkowski, Trojanowski. Znakomitych pejzażystów, którzy często wystawiali swoje obrazy sielskiego lata.

Niezwykłymi w formie i treści stały się obrazy letnich ogrodów w twórczości Józefa Mehoffera, młodopolskiego i secesyjnego artysty tworzącego w Krakowie. Ten wszechstronny twórca przez

lata należał do elity inteligenckiej, współzакładał Towarzystwo Artystów Polskich „Sztuka”, zajmował się problemami ochrony zabytków, pisał rozprawy z teorii i historii sztuki, a dzięki wygranej w konkursie na witraże do katedry we Fryburgu zyskał międzynarodową sławę. W życiu rodzinnym spełniony, bez problemów finansowych, mógł do woli kontemplować urodę natury, realizować artystyczne pasje. Najsłynniejszy jego obraz *Dziwny ogród* (1902), obecnie w MN w Warszawie, malowany podczas wakacji w Siedlcu pod Krakowem jest pełen symboliki, a scena w ogrodzie określana jest jako apoteoza życia rodzinnego. W zielonym, ukwieconym ogrodzie widzimy trzy postacie: z przodu jego kilkuletni synek „na golaska”, dalej żona Jadwiga w szafirowej sukni i podążająca za nimi służąca, a na pierwszym planie ogromna wałka, o której sam mistrz mówił, że jest symbolem słońca...(?) Przyjaciele mówili, że obraz oddaje stan ducha artysty: radość, miłość do rodziny, upojenie latem i słońcem – świat człowieka szczęśliwego.



Powyżej: Władysław Podkowiński *Chłopiec w stawie*, fragment obrazu. Obok: Józef Mehoffer *Dziwny ogród*, fragment obrazu

Najsłynniejszy malarz polskiego modernizmu, Jacek Malczewski pokazywał urodę życia w swoich symbolicznych cyklach, ale letnie pejzaże były drugim planem w wielofigurowych kompozycjach. Wszyscy najbardziej znani twórcy tamtego okresu gloryfikowali tę porę roku, ale wybór kilku obrazów jest zawsze bardzo osobisty. Na koniec jeszcze o jednym znaczącym letnim motywie. To martwe natury z kwiatami w wazonach lub tylko same bukiety, obecne w dziełach prawie wszystkich malarzy. Bardzo lubię kwietne kompozycje Wyczółkowskiego, Boznańskiej i nieco późniejsze Tamary Łempickiej, której dorodne kobiety w letnich sukienkach, często z bukietami kwiatów, jednoznacznie określają urodę tej pory roku.



Bartosz KLIMCZUK

Latynoskie podejście do koronawirusa cz. 3



B&B przez Ameryki. Część 12

Gdy prezydent Peru ogłaszał zamknięcie kraju związane z rozprzestrzenianiem się koronawirusa, byliśmy akurat w Paracas, małej portowej miejscowości nad Oceanem Spokojnym. Zamknięte zostały granice, uniemożliwiono również poruszanie się wewnątrz kraju. Na początku nie wiedzieliśmy jeszcze jak długo taka sytuacja potrwa. Mieliśmy do wyboru albo na złamanie karku, w przeciągu zaledwie 24 godzin, dotrzeć do Argentyny lub Chile, albo po prostu pozostać na miejscu. Jako, że większość turystów z Peru natychmiast zaczęła uciekać, a co z tym związane wykupować wszelkie dostępne bilety, nie było już możliwości wydostania się z Paracas transportem publicznym. Z kilku hosteli i hoteli zaczęto wyrzucać turystów. Tam gdzie my się zatrzymaliśmy nocowała na szczęście pewna bardzo obrotna Belgijka, która w dodatku biegle mówiła po hiszpańsku. Wyprosiła administratora hostelu, aby wynegocjował z właścicielem możliwość pozostania wszystkich chętnych na miejscu. Na szczęście się udało. Musieliśmy tylko zapłacić za tydzień pobytu z góry, o dziwo po normalnych stawkach. Oprócz nas i wspomnianej już dziewczyny z Belgii, w naszym hostelu pozostał również jej partner z Francji, para z Holandii oraz jeszcze jeden Francuz. Współtowarzysze naszej niedoli wydawali się być bardzo spokojni i snuli jeszcze plany dalszego podróżowania.

Pierwszy dzień lockdownu był wielką niewiadomą nie tylko dla nas, ale nawet dla miejscowych. Gdy wybraliśmy się do biura podróży, aby odzyskać zaliczkę za wpłaconą wycieczkę do parku narodowego, byliśmy przez pracowników przekonywani, że na pewno zaraz się wszystko unormuje i niepotrzebnie z niej rezygnujemy. Jak się później miało okazać, dobrze zrobiliśmy, że sta-

nowczo poprosiliśmy jednak o oddanie wcześniej wpłaconych pieniędzy. Gotówka została nam zwrócona. Tego samego dnia wybraliśmy się również na dworzec autobusowy, aby zapytać o możliwość odzyskania pieniędzy także za kupione wcześniej bilety. Cały terminal w Paracas należy do bardzo popularnej wśród turystów firmy przewozowej, u której zamówiliśmy przez internet kilka przejazdów na różnych odcinkach w całym Peru. Oczywiście, za każdą trasę trzeba było z góry zapłacić. Pani na dworcu była jednak wyjątkowo mało pomocna, co po części rozumieliśmy. Przekonywała nas, że lockdown był zaskoczeniem także dla niej i firma przewozowa dopiero opracowuje strategię wobec klientów, którzy kupili już bilety na odwołane kursy. Aby mieć poczucie, że w tej sprawie zrobiliśmy wszystko co się da, wysłaliśmy również maila na centralną skrzynkę przewoźnika. Jak łatwo można się domyślić, minęły całe dni, nim uzyskaliśmy jakąkolwiek konkretną odpowiedź.

Wieczorem, mimo że byliśmy już bardzo zmęczeni (chyba był to głównie wynik stresu), wybraliśmy się jeszcze na spacer po opustoszałej okolicy. O ile zgadzaliśmy się co do tego, że o zwroty za wszelkie bilety należy starać się już teraz, to nie chcieliśmy popadać w przesadną panikę i wykupywać wszystkiego z okolicznych sklepów. Ostatecznie, może chuchając trochę na zimne, kupiliśmy trochę nadprogramowego makaronu, ryżu i jajek. Nasi sąsiedzi z hostelu, którzy żyli tak jakby nic złego się nie działo, patrzyli jednak na nas, z tymi siatkami pełnymi jedzenia, trochę jak na panikarzy. Jeszcze tego samego wieczora miało okazać się, że o ile powodów do paniki nie było, to ich nadmierny optymizm również okazał się nieuzasadniony. Prezydent Peru

ogłosił bowiem, że poza dom/hotel/hostel można wychodzić wyłącznie po zakupy, a w sklepach należy mieć na twarzy maseczkę. Osobiście, początkowo niewiele sobie robiłem z tego pierwszego zarządzenia. Paracas jest bardzo małą miejscowością, policji tutaj praktycznie nie było, przez pierwsze dni wychodziłem więc jeszcze na spacer czy pobiegać. Z tych drobnych aktywności zrezygnowałem dopiero, kiedy miasto zaczęli regularnie patrolować mundurowi.

Każdy następny dzień nie przynosił raczej pozytywnych informacji. W Peru wprowadzano kolejne obostrzenia, włącznie z godziną policyjną. Wieczorami nie można było wyjść nawet do sklepów, o czym codziennie informowała z głośników lokalna policja. Jak się zdaje, ktoś chyba uznał, że mundurowych w Paracas jest za mało, bowiem w pewnym momencie stróżów prawa

zaczęło wspierać także wojsko. W drugim tygodniu naszego peruwiańskiego „aresztu” nie było już ulicy, na której nie stał choćby jeden policjant. Najbardziej pilnowane były okolice hosteli oraz sklepów. Mundurowi od razu reagowali, gdy ktoś szedł w kierunku plaży lub poza centrum miejscowości. W dwóch działających sklepach wprowadzie codziennie pojawiały się tłumy klientów, na szczęście asortyment się nie kończył (szczególnie żywność) i był na bieżąco uzupełniany. Ceny również nie wzrastały utrzymując się od początku naszego pobytu na podobnym poziomie.

Zagraniczni turyści, którzy zdecydowali się zostać w Paracas, dostosowywali się raczej do nowych warunków i przestrzegali wprowadzanych obostrzeń. Co do miejscowych, to bywało już różnie. Zdarzyła się taka sytuacja, że pewien starszy mężczyzna, Peruwianczyk, mimo rozpo-

Paracas, niegdyś tłumnie odwiedzane przez turystów, w czasie pandemii opustoszało. Fot. B. Klimczuk





Nasi towarzysze z hostelu

częcia się godziny policyjnej, spokojnie spacerował sobie ulicami miasta. Dosyć śmiesznie wyglądało, jak policyjny samochód, jadąc najwolniej jak potrafił za starszym mężczyzną, z megafonów nawoływał go do powrotu do domu. On jednak za dużo sobie z tego wszystkiego nie robił i powoli, swoim tempem, zmierzał w kierunku centrum.

Innym przykładem raczej dosyć luźnego podchodzenia do restrykcji przez miejscowych, była ukryta działalność jednej z restauracji. Oficjalnie, wszelkie lokale powinny być przez cały czas zamknięte. Jeden z barów jednak nadal serwował posiłki na wynos, z czego skwapliwie korzystał jeden z naszych francuskich sąsiadów. Właściciele restauracji starali się również, dając różne znaki, zachęcić turystów do zamówienia czegoś u nich. My jednak nie skusiliśmy się na wypróbowanie tego „restauracyjnego” podziemia.

Najbardziej chyba jednak jaskrawym przykładem zupełnego ignorowania pandemicznego prawa była potajemna możliwość skorzystania z „nieoficjalnej” taksówki. Jak już wcześniej wspominaliśmy, poruszanie się między miejscowościami było możliwe tylko dla samochodów określonych służb lub dostawczych. W Paracas byli jednak ryzykanci, którzy za odpowiednią opłatą przewozili niektórych turystów do stolicy Peru. W pewnym momencie lokalni policjanci zwrócili w tym niezły biznes, bo sami za dosyć wygórowaną stawkę godzili się potraktować swój radiowóz jak taksówkę.

Katarzyna GRZEGORCZYK

Oceniać, czy nie oceniać? Oto jest pytanie

Okiem belfra

Za nami kolejny rok szkolny. Inny niż wszystkie poprzednie. Ani gorszy, ani lepszy, ale na pewno zupełnie zaskakujący. Miesiące przed komputerem skłaniały do wielu refleksji. Powrót na kilka ostatnich tygodni budził sprzeczne uczucia. Ale ostatecznie uczniowie i nauczyciele dobiegli do mety – końca roku szkolnego. To czas wyjątkowy. Trzeba podsumować i ocenić pracę uczniów. Przy tej okazji pojawia się refleksja nad sensem i sposobem oceniania jako jednym z najbardziej charakterystycznych elementów pracy szkoły.

Słowo „szkoła” w świadomości kolejnych pokoleń wiąże się z magicznymi cyframi, które pojawiały się kiedyś w uczniowskich dzienniczkach, a dziś trafiają do dziennika elektronicznego. System liczbowy stał się niezwykłym kodem porządkującym uczniów. Jeżeli w Twoim dzienniczku pojawiały się piątki, szóstki, to należałeś do szkolnej elity, jeżeli cyfry miały mniejszą wartość – 3 lub 4 – trafiałeś do grupy tzw. przeciętnych. Bywało niestety i tak, że pojawiały się najniższe stopnie – 2, 1... – to już dolne szczeble szkolnej hierarchii. Jaka magiczna siła tkwi zatem w tym kodzie? Czy można młodego człowieka klasyfikować przy użyciu zaledwie sześciu cyfr?

Ocenianie to najtrudniejsza sztuka w rzemiośle nauczycielskim. Długie lata studiów przedmiotowych pomagają zgłębić tajniki wiedzy z danej dziedziny, ale ocenianie to obszar, który trzeba poznać przez doświadczenie. Bywa i tak, że po wielu latach pracy nauczyciel ma wątpliwość, jaką ocenę postawić. Najprościej oceniać testowo – odpowiedź jest albo dobra, albo zła. Nie ma miejsca na uznaniowość. Jednak, czy na pewno klasyfikowanie dzieci i młodzieży w systemie zero jedynkowym jest trafne? Czy ocenimy wtedy za-

angażowanie, postępy, włożony wysiłek i poświęcenie, by poznać temat i przyswoić wiedzę? Ocenę cząstkową, mozolnie zbieraną w ciągu roku szkolnego, prowadząc do ocen końcoworocznych. Te z kolei lądują na świadectwie. Marzeniem wielu uczniów jest zdobycie świadectwa z czerwonym paskiem. Koniec roku szkolnego to czas, gdy media społecznościowe zalewa fala zdjęć uczniów z takimi właśnie dokumentami w dłoniach umieszczanych przez dumnych rodziców. Czy jednak można być dumnym tylko z tego świadectwa, na którym pyszni się biało-czerwony pasek? Ilu młodych ludzi pokonało swoje słabości, przekroczyło własne granice, włożyło w naukę ogromny wysiłek, by otrzymać ocenę pozytywną, której daleko jednak do najwyższych not? Czy nie zasługują na dumę rodziców, pochwały i ogłaszanie całemu światu, że moje dziecko osiągnęło sukces?

Sukces to trudne pojęcie. Jak je zdefiniować? Jak zmierzyć? Czy sukcesem jest sytuacja, gdy super zdolne dziecko przyniesie kolejną szóstkę? A może sukcesem jest trójka młodzieńca, który do tej pory nie był w stanie poradzić sobie z geometrią? Współczesna szkoła stoi przed wieloma wyzwaniami, a jednym z nich jest na pewno kwestia oceniania. Jak mierzyć sukcesy i postępy uczniów, by ich motywować, a jednocześnie w pełni ukazać ich możliwości. Żadna szóstka, czy trójka nie powie, jakie pasje i talenty drzemią w młodym człowieku.

Szukajmy zatem metody, która wzmacnia i motywuje, jest obiektywna i wyczerpująca, a jednocześnie nie stygmatyzuje uczniów. Stawiajmy uczniom cele i towarzyszymy w ich osiąganiu, a wtedy ocenianie uda się zamienić na docenianie.



Wieści z ratusza

OBOWIĄZEK DEKLARACJI DO CEEB OD 1 LIPCA

Od 1 lipca 2021 r. właściciel lub zarządca nieruchomości ma obowiązek składania deklaracji do Centralnej Ewidencji Emisyjności Budynków.

CEEB, czyli Centralna Ewidencja Emisyjności Budynków to system informacji o źródłach ogrzewania budynków w Polsce. CEEB ma wspierać działania w wymianie kopciuchów, a tym samym walkę ze smogiem.

CEEB utworzono ustawą z dnia 28 października 2020 r. o zmianie ustawy o wspieraniu termomodernizacji i remontów oraz niektórych innych ustaw i nałożono nowe obowiązki na właścicieli lub zarządzających budynkami lub lokalami. Za bazę odpowiedzialny jest Główny Inspektor Nadzoru Budowlanego.

Obowiązek złożenia deklaracji dotyczy każdego właściciela lub zarządcy budynku lub lokalu, który posiada źródło ciepła o mocy do 1 MW. Deklaracja to rodzaj ankiety, w której podaje się m.in. informacje o liczbie i rodzaju eksploatowanych w obrębie nieruchomości źródeł ciepła lub źródeł spalania paliw oraz o ich przeznaczeniu i wykorzystywanych w nich paliwach.

Deklarację należy złożyć od 1 lipca 2021 r. w ciągu: 14 dni od pierwszego uruchomienia urządzenia lub instalacji, w przypadku nowych źródeł ciepła, lub 12 miesięcy, w przypadku źródeł ciepła już pracujących.

Obowiązek złożenia deklaracji jest nałożony ustawowo i za jego niewypełnienie w terminie grozi grzywna.

Sposoby składania deklaracji: w formie elektronicznej, czyli przez Internet – preferowany sposób, którego funkcjonalność umożliwi proste i szybkie wypełnienie dokumentu lub formie papierowej w Urzędzie Miejskim w Śremie.

ŚREM GMINĄ NA 5!

Gmina Śrem uzyskała tytuł Gminy na 5! Badaniu, które prowadził zespół ekspertów z Instytutu Przedsiębiorstwa SGH w Warszawie poddano funkcjonowanie gmin w Polsce w zakresie komunikacji elektronicznej.

Ocenie podlegała komunikacja drogą elektroniczną pomiędzy gminą a potencjalnymi inwestorami oraz przedsiębiorcami, jak również innymi interesariuszami gmin. Przeanalizowano, jak gminy wywiązują się z powierzonych zadań i pokładanych w nich oczekiwań oraz jakich używają narzędzi i metod do realizacji swoich funkcji. Przedmiot badań pozostał więc niezmienny w stosunku do lat ubiegłych. Ocenie podlegała komunikacja jednostronna, tj. przekazywanie informacji poprzez oficjalne portale internetowe badanych jednostek, jak również komunikacja dwustronna, z wykorzystaniem poczty elektronicznej. Ze względu na wyjątkową sytuację globalną, w tej edycji badania stworzono drugi ranking, uwzględniający dodatkowe kryteria obsługi przez gminy przedsiębiorców w czasie kryzysu, tj. odniesienia do wsparcia dla biznesu w tym trudnym czasie, zarówno na oficjalnych witrynach internetowych, jak i w komunikacji dwustronnej.

Badanie przeprowadzono na 656 gminach z całej Polski i 18 dzielnicach Warszawy. Śrem znalazł się w prestiżowym gronie 91 samorządów, które otrzymały najwięcej punktów w tegorocznym rankingu i wyróżnienie „Gmina na 5!”.

OGRANICZAMY KOSZENIE TRAWNIKÓW

Urząd Miejski w Śremie informuje, że z uwagi na zmiany klimatu oraz coraz częstsze pogodowe zjawiska ekstremalne, np. długotrwałe susze, gmina Śrem ogranicza koszenie trawników na

terenach zieleni będących w zarządzie gminy m.in. parków, skwerów, pasów drogowych.

Nie rezygnujemy całkowicie z koszenia, ale wzorem wielu innych miast ograniczamy częstotliwość tych prac. Dzięki temu przyczynimy się do minimalizowania skutków suszy poprzez umożliwienie retencji wody, poprawę utrzymania wilgotności w glebie, obniżenie temperatury powierzchni ziemi oraz zwiększenie powierzchni pochłaniającej dwutlenek węgla.

Pamiętajmy!! Wyższa trawa zatrzymuje wilgoć i daje chłód, wytwarza tlen, pochłania pyły i inne zanieczyszczenia, jest schronieniem i pokarmem wielu pożytecznych owadów i innych zwierząt, utrzymuje żyźność gleby

PLAŻA MIEJSKA ZAPRASZA!

Sezon kąpielowy na plaży w Śremie na Jeziorze Grzymiśławskim w 2021 r. rozpoczyna się już 1 czerwca i potrwa do 31 sierpnia. Długość linii brzegowej kąpieliska to 75 m, wyznaczone bojkami ratowniczymi. O bezpieczeństwo plażowiczów dbać będą ratownicy WOPR, którzy przez cały sezon pełnić będą dyżur w godz. 10.00-20.00. Na terenie kąpieliska można skorzystać z wielu bezpłatnych atrakcji. Ponadto do dyspozycji są: Wakepark – dwa wyciągi wodne z przeszkodami, wypożyczalnia rowerów wodnych, Beach bar.

Na plażę można przyjechać Śremskim Rowerem Miejskim – jest tu strefa parkowania rowerów – srem.bike.

ODNOWIONA FIGURA W SZYMANOWIE

20 maja br. w Szymanowie zorganizowano uroczystość poświęcenia figury Najświętszego Serca Pana Jezusa, która jest symbolem wsi już od 100 lat.

Figurę Najświętszego Serca Pana Jezusa w Szymanowie postawił Wojciech Nowak w 1921 r., w podziękowaniu za szczęśliwy powrót z wojny. Jej renowację przeprowadzono z inicjatywy Społecznego Komitetu Renowacji Figur, przy wsparciu darczyńców. Wcześniej dzięki zaangażowaniu Komitetu odnowione zostały figury i krzyże w Śremie, Grzymiśławiu i Ostrowie.

W uroczystym poświęceniu figury w Szymanowie udział wzięli burmistrz Adam Lewandowski, przedstawiciele Społecznego Komitetu Renowacji Figur, sponsorzy, mieszkańcy Szymanowa oraz potomkowie fundatora figury sprzed 100 lat – państwo Płóćninniczakowie z Szymanowa.

ALZHEIMER – ROZUMIEM, WSPIERAM

Rzecznik Praw Obywatelskich i Alzheimer Polska organizują kampanię informacyjno-edukacyjną pn. „Alzheimer – rozumiem, wspieram”. Kampania ma na celu zwiększenie wiedzy o chorobach otępiennych, w tym o chorobie Alzheimera, a także o potrzebach osób żyjących z chorobą otępienną i ich opiekunów rodzinnych.

W Polsce ponad 500 tysięcy osób żyje z objawami otępienia (demencji), a wśród nich 300 tysięcy ma chorobę Alzheimera. To zwykle osoby starsze – rodzice, dziadkowie, sąsiedzi, znajomi.



**Plaża Miejska
w Śremie
zaprasza**

kajaki | wakepark | plac zabaw | street workout | siłownia | plaża strzeżona

Otępienie stopniowo odbiera wszystkie dotychczasowe umiejętności, prowadząc do niepełnosprawności. Ale osoby żyjące z otępieniem nadal słyszą, widzą i czują. Mają ograniczenia spowodowane otępieniem, a w związku z tym także szczególne potrzeby. Im lepiej zrozumiemy ich potrzeby, tym lepiej będziemy mogli im pomóc.

O tym, gdzie uzyskać pomoc i jak nawiązać kontakt z organizacjami alzheimerowskimi można przeczytać na stronach:

www.alzheimer-polska.pl

oraz Rzecznika Praw Obywatelskich.

Zachęcamy do ograniczenia koszenia traw na innych terenach publicznych i prywatnych. Dajmy zakwitnąć stokrotkom, makom i chabrom – nacieszmy oczy kolorami natury



lipiec sierpień 2021


MUZEUM
S R E M S K I E

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 89
tel/fax: 61 2835938
www.muzeum.srem.pl
e-mail: muzeum@srem.pl

HENRYK MAZUREK

TWARZE AFRYKI

FOTOGRAFIA



WERNISAŻ - 9 LIPCA 2021, G. 18. 30
WYSTAWA - 9 LIPCA - 1 SIERPNIA 2021

Muzeum Sremskie 2021

25.06	19.30 20.30	DE INDIGO KALISZ THE SHVAGIERS SREM
02.07	20.00 21.30	PART OF THE KITCHEN POZNAŃ JUTUBER KRAKÓW
09.07	19.30	ŚREM AKUSTYCZNIE BARTK Z PIERKŁA GUSTAVE K & GENTLE-MEN KOREK ROXANA TUTAJ & GOOD OMEN THE SHVAGIERS
16.07	19.30 21.00	HUNGRY BLUES POZNAŃ NADMIAR PILA
23.07	19.30 20.30	DAYS DAYS DAYS WARSZAWA SYNDROM PARYSKI POZNAŃ
30.07	19.30 20.30	YORBA WRZEŚNIA LAST MINUTE Tribute to Jimi Hendrix POZNAŃ

Amfiteatr w ogrodzie Muzeum Sremskiego | wstęp wolny

MUSEUM TV relax

NOWE PŁYTY:

THE SHVAGIERS
NARESZCIE!SYNDROM PARYSKI
MAŁE POKOJE
W WIELKIM MIĘSCIEMANOLO
NASTOLETNIIE
BALLADYLECH NAWROCKI
SYNERGIA

04.07	17.30	NIEZAPOMNIANE PRZEBJOJE ANNY GERMAN Recital Katarzyny Zawady w cyklu Senior w Muzeum
10.07	19.30	MANOLOFEST 2 LUXX SATORI AMELIA JANKOWIAK DJ RICKEN MANOLO
07.08	19.30	WIECZÓR MUZYKI IMPROWIZOWANEJ LOUIS CRYSTAL SAMBOR DUDZIŃSKI SOLO ACT
14.08	20.30	NIEME KINO POD GWIAZDAMI PROJEKCJA PLENEROWA Z MUZYKĄ NA ŻYWO W WYKONANIU MARCINA PUKALUKA
22.08	17.00	SYNERGIA KONCERT MUZYKI LECHA NAWROCKIEGO

ZNAJDŹ NAS:



Wystawa w Muzeum Sremskie

04.07	g. 17.00	DAWNA ARCHITEKTURA WIELKOPOLSKI Wystawa współorganizowana ze Związkiem Artystów Plastyków - oddział w Poznaniu. Obrazy w różnych technikach, prezentujące dworiki i pałacyki Wielkopolskie.
09.07	g. 18.30	TWARZE AFRYKI Wystawa fotografii Henryka Mazurka, lekarza, hilkanaście lat pracującego dla różnych organizacji humanitarnych na misjach w Afryce.
09.07	g. 22.00	PTAKI Wystawa plenerowa fotografii ptaków, które Artur Sikorski wykonał w ołachach Sremu - na łąkach i stawach w pobliżu Manieck, w rezerwacie Krajnowo i ołachach Grzybna.
07.08	g. 19.00	PLAKAT. GRAFIKA. Wystawa prac młodej sremskiej artystki i projektantki - Dobrochny Łowickiej, tegorocznej absolwentki Wydziału Architektury Politechniki Poznańskiej.
08.08	g. 16.00	WYSZŁO Z UŻYCIA ZA NASZEGO ŻYCIA Nostalgiczna, wspomnieniowa wystawa przedmiotów i rzeczy codziennego użytku, którymi używaliśmy jeszcze nie tak dawno, które pamiętamy i za którymi nieśmiesznie tęsknimy. Odchodzimy pamięć, powspominamy, przypomnimy.

Zwiedzanie: poniedziałek-czwartek g.8.00-15.00, piątek - 8.00.00-22.00 oraz podczas trwania wydarzeń kulturalnych
WSTĘP WOLNY

PÓŁKOLONIE DLA DZIECI

AHOJ PRZYGODÓ!
ZAPROZNIANIE Z RÓŻNYMI KULTURAMI. WYCHODZKA DO MUZEUM ARKADZEGO FIEDLERA W PUSZCZYKOWIE. GRY I ZABAWY NA ŚWIEŻYM POWIETRZU
19-23.07. (10-11 LAT) - KOSZT 250 ZŁ/OS.

TEATRALNA PRZYGODA
WARSZTATY TEATRALNE PROWADZONE PRZEZ WIEŚLAWE ŁABUTKĘ I MAGORZATĘ BULIŃSKĄ, WZBÓGACONE WARSZTATAMI KREATYWNYMI. GRY I ZABAWY NA ŚWIEŻYM POWIETRZU
16-20.08. (10-14 LAT) - KOSZT 280 ZŁ/OS.

Wakacje w **Muzeum Sremskie**

Szczegółowe informacje i zapisy: tel. 61 28 35 938, 607 755 207
www.muzeum.srem.pl / www.facebook.com/muzeumsremskie

Kamyki radości posyłamy w świat

Tegoroczny Dzień Dziecka przyniósł nam wiele radości. Wszystko to za sprawą naszych przedudnych kamieni radości. Do ułożenia z nich uśmiechu zaprosiliśmy uczniów klasy II A i III B Szkoły Podstawowej nr 2 w Śremie. Na spotkaniu obecny był burmistrz Adam Lewandowski oraz Barbara Jabłońska, Naczelnik Pionu Edukacji i Usług Społecznych.

Przez 54 dni trwania zabawy zebraliśmy łącznie 2 241 kamieni radości! Najmniejszy kamyk dostarczony był przez DPS Psarskie i ważył zaledwie 3 g. Największy kamień przyjechał do nas z przedszkola Mali Przyrodnicy. Jego waga to

25 kg! Mamy w swojej kolekcji kamień pochodzący z Tatr, który pomalował Emil Majsner. Jest też kamień z Kołobrzegu, który przywiozła do Śremu pisarka Agnieszka Rusin.

1 czerwca, z pomalowanych kamieni dzieci ułożyły wielki, kolorowy uśmiech. Po jego stworzeniu stanęły w kole i chwyciły się za ręce. Ich okrzyk „kamyki radości posyłamy w świat” rozległ się w całej najbliższej okolicy.





LIP C O W E W E E K E N D Y



W OGRODZIE ŚOK



3.07

Anita Lipnicka

Streaming koncertu z
Zaniemyskich Bitew
Morskich

wstęp
wolny

21:00



4.07

REKSIO

Spektakl i animacje
w wykonaniu teatru
FUZJA

wstęp
wolny

16:00



10.07

Biesiada Seniorska

Endriu i Zygi

muzyka na żywo

10zł/os.

15:00



10.07

Kabaret

ANI MRU MRU

Streaming występu z
Zaniemyskich Bitew
Morskich

wstęp
wolny

21:00

www.soksrem.pl
www.facebook.com/sremski.osrodek.kultury.9

tel.: 61 28 35 904 | 889 647 418
bok@sok-srem.pl

WYDARZENIA WSPÓLFINANSOWANE PRZEZ GMINĘ ŚREM

Polski Związek Bibliotek

W dniach 17-18 czerwca br. w Bibliotece Publicznej w Śremie odbyło się posiedzenie Zarządu Polskiego Związku Bibliotek. Było to pierwsze od dwóch lat stacjonarne spotkanie władz związku (wcześniejsze posiedzenia, ze względu na pandemię, odbywały się on-line). W posiedzeniu zarządu uczestniczyli: prezes Jan Krajewski (Toruń), wiceprezes Jerzy Kondras (Śrem), skarbnik Andrzej Maćkowski (Kielce), sekretarz Renata Wojtczak (Piotrków Trybunalski) oraz członkowie – Magdalena Forusińska (Bełchatów), Maria Kucharska (Jastrzębie-Zdrój), Roman Wojciechowski (Zielona Góra). Goście zwiedzili śremską bibliotekę oraz miasto, a na posiedzeniu Zarządu omówiono sprawy dotyczące przede wszystkim organizacji jubileuszu 20-lecia Polskiego Związku Bibliotek, który przypadał w zeszłym roku, a ze względu na pandemię przeniesiony został na wrzesień tego roku. Z władzami

związku spotkał się także burmistrz Adam Lewandowski.

Polski Związek Bibliotek powstał w 1999 r. z inicjatywy Jana Krajewskiego – dyrektora Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Chełmży oraz grupy dyrektorów polskich bibliotek publicznych. Celem stowarzyszenia jest przede wszystkim konsolidacja polskich bibliotek i reprezentowanie ich wobec władz parlamentarnych, rządowych i samorządowych, zmierzanie do poprawy funkcjonowania polskich bibliotek, w szczególności poprzez podejmowanie działań zmierzających do pogłębiania w świadomości i opinii publicznej wiedzy o potrzebach i warunkach działania bibliotek w Polsce. Związek zajmuje się również opracowaniem projektów i prowadzeniem badań z zakresu bibliotekarstwa, kierowaniem wniosków prawnych, organizacyjnych i finansowych do organów stanowiących



prawo biblioteczne oraz organizatorów instytucji kultury. Istotnym osiągnięciem PZB jest wpływ na zapis w ustawie o bibliotekach o zakazie łączenia bibliotek z innymi instytucjami kultury, a w 2010 r. uzyskanie gwarancji Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego na wprowadzenie zabezpieczeń ustawowych gwarantujących polskim bibliotekom stabilność i podmiotowość. Polski Związek Bibliotek jest inicjatorem powszechnej mobilizacji polskich bibliotek w obronie samodzielności bibliotek i walce z zapisami projektu ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej z 1999 r. W wyniku protestu bibliotek i trwającego 3 lata sporu z rządem, a później parlamentem, jedynie biblioteki wywalczyły zapis ustawowy zabezpieczający je przed samodzielnym włączeniem do nowych samorządowych instytucji kultury. Na takie połączenie wymagana jest pisemna zgoda Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Związek wspiera inicjatywy promujące książkę i czytelnictwo, popiera wprowadzenia nowoczesnych technik informacyjnych, inicjuje współpracę bibliotek oraz innych instytucji związanych z książką.

W pierwszym Walnym Zgromadzeniu Członków uczestniczyło 36 bibliotek, na dzień 31 grudnia 2014 r. stowarzyszenie liczyło 137 członków. Obecnie do związku należy ponad 170 bibliotek. Biblioteka Publiczna w Śremie jest aktywnym członkiem PZB od 2 września 2005 r.

Dyrektor Biblioteki Publicznej w Śremie wielokrotnie reprezentował bibliotekę na organizowanych przez PZB konferencjach i szkoleniach, m.in.: Kierunki rozwoju publicznych bibliotek miast i gmin. Poszukiwanie działań modelowych (2005 r., Zakopane), I konferencja polsko-ukraińska Rozwój oferty edukacyjno-kulturalnej bibliotek publicznych Polski i Ukrainy na rzecz lokalnej społeczności (2007, Lublin), II konferencja polsko-litewska Perspektywy i możliwości działalności bibliotek na Litwie i w Polsce (2007, Wilno), Rozwój bibliotek publicznych a standardy europejskie (2008, Toruń), Zarządzanie instytucją kultury (2009, Mąchoć k/Kielc), Biblioteka w systemie kultury (2011, Toruń), II konferencja polsko-ukraińska: Biblioteka Łączy pokolenia (2013, Lwów), Biblioteka w czasach kryzysu (2013, Toruń), Nowatorskie formy edukacyjne w bibliotekach (2015 Toruń), Zmagania dyrektorów współczesnych instytucji kultury – międzynarodowe warsztaty szkoleniowe (2017, Wisła), X Ukraińskie Forum Biblioteczne: nowa biblioteka – odpowiedzialność każdego (2019, Lwów).

Jerzy KONDRAS

Źródło:

<https://www.facebook.com/PZBibliotek>

<https://www.polskizwiazekbibliotek.pl/pl/>





Mechliński Krucyfiks nad Wartą, rys. Tomasz Mazurczak

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – Fot. Henryk Mazurek
IV – Fot. Piotr Pieczykolan

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

via drukomatic.pl

TU
jest,
TU
było,
TAK
się mówiło

DOM I SKLEP TADEUSZA SZRAJBERA

– zegarmistrza i złotnika, przy obecnej
ul. S. Wyszyńskiego 3. Potem siedziba
oddziału PKO BP.



Fot. z archiwum rodzinnego Jacka Łowińskiego



Fot. Piotr Pieczykolan, 2021

